Nr. 3. Kraków, w marcu 1902 r. Rok III.



Pismo
dla kobiet wiejskich
wychodzi w drugą niedzielę każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

ocznie	1 kor.	zagranicą . . .	1 marka
ółrocznie . . .	50 hal.	pojedynczy numer	10 gr.

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, I. p.

Święta Wielkanocne.

Za dni kilkanaście obchodzić będziemy sercem radosnem uroczystość Zmartwychwstania Pańskiego. I w domach i kościołach zapanuje nastrój uroczysty, a głosy wzruszone zanucą starą a zawsze sercu miłą pieśń:

Chrystus zmartwychwstan jest,
Nam na przykład dan jest,
Iż mamy z martwych powstać...

I nie o jedno sklepienie kościelne obije się dźwięk tej drogiej nam pieśni — i nie jedna rodzina śpiewać ją będzie, ale jak daleko rozbrzmiewa polska mowa i tu na obszarze Galicyi i tam gdzie do rzędu dawnych bohaterów przybywają nowi, w osobach małych dzieci, gnębionych za miłość dla mowy ojczystej, i daleko, daleko — w tych rozrzuconych na obczyźnie osadach polskich — wszędzie w dzień uroczysty Zmartwychwstania Pańskiego serca łączyć się będą ku uczczeniu Zmartwychpowstałego i chwalić Go będą jednaką modlitwą i pieśnią.

Na jaką pamiątkę obchodzimy Święta Wielkanocne? Na pamiątkę chwalebnego zmartwychwstania Chrystusa Pana, złożonego po męce okrutnej do grobu. A grobu tego strzegli żołdacy, a grób ten przywalony był ciężkim kamieniem.

Ale otóż moc Boża odwala kamień i Bóg zmartwychpowstaje prawdziwie i ukazuje się uczniom swoim. Uroczystość Wielkanocna przypomina nam żywo to wszystko, co towarzyszyło Zmartwychwstaniu Pańskiemu, również i to, że i my do Zmartwychwstania przeznaczeni jesteśmy i że żyć mamy tak, aby to obudzenie się na nowy żywot było chwalebne.

Swięta Wielkanocne przypadają na wiosnę, jakby na głębsze jeszcze utrwalenie nam swego znaczenia. Wiosna — to obudzenie przyrody po śnie zimowym, to zmartwychwstanie dla zieleni, roślin, dla szafirowych toni rzecznych, dla złotych blasków słonecznych — to „zmartwychwstanie“ dla śpiewu ptasząt leśnych, dla szmeru wód, to zmartwychwstanie dla wszystkich.

Więc też w radości łączą się serca ludzkie z tą obudzoną ziemią i śpiewają: „Wesoły nam dziś dzień!“

Różne narody mają różne zwyczaje, które wyodrębniają je od innych i nadają im cechy

właściwe. Nasz naród więcej od innych może ma tych obyczajów, które z dawna stały się jego własnością. Wiele z nich przynależy właśnie do Świąt Wielkanocnych. Obowiązkiem naszym jest pielęgnować dobre dawne obyczaje, a zaniechać złych.

Któryż obyczaj jest dobry? Ten, który nie obraża Boga w nijaki sposób i nie krzywdzi ani bliźniego, ani nawet zwierzęcia; złym jest taki obyczaj, który się łączy z obrazą Boską i krzywdą bliźniego.

Pamiętajmy o tem przy nadchodzących świętach. I pamiętajmy jeszcze o jednem.

Oto, gdy odezwą się dzwony na Rezurekcyę, gdy nam może ze wzruszenia zabije serce, a w oku łza zabłyśnie, pamiętajmy o tych wszystkich, którzy razem z nami święcą tę chwilę tą samą pieśnią i tą samą modlitwą. Pamiętajmy o całym naszym narodzie i o tem, że jesteśmy jego członkami. Pamiętajmy o tem, że nie wolno nam zapierać się ani naszej wiary, ani naszej mowy, ale w obronie skarbów ojczystych iść z mężnie podniesioną głową, ze słowem polskiem na ustach, iść naprzód i nie ugiąć się — n i e u g i ą ć! tak jak się nie ugięły dziecięce głowy we Wrześni (w zaborze pruskim) i w Siedlcach (w zaborze rosyjskim). Pamiętajmy, że jeśli wszyscy ludzie oczekują Zmartwychwstania — to my jeszcze bardziej, bo mamy jako naród na tej ziemi zmartwychwstać z naszych błędów, z naszej ciemnoty i niewoli.

O! niech się serca Wasze napełnią pamięcią wierną na obowiązki, jakie Bóg nam tu wyznaczył, a gdy zwycięży nad nami niedola, niech się serce krzepi nadzieją zmartwychwstania — Alleluja!

Narcyza Żmichowska,

wielka nasza poetka.

Spieszymy dzisiaj do Was, kochani Bracia i Siostry, ze wspomnieniem o Narcyzie Żmichowskiej, z utworami której pragniemy Was zaznajomić. Pisała prześliczne wiersze, pisała i prozą, a władała ojczystą mową tak, że najsławniejszych poetów i pisarzy w podziw wprowadzała; był to już u niej osobny dar Boży.

Zaczniemy od wieczornicy Prządek, której opis podamy Wam, według jej słów własnych, z prześliczną bajką czarodziejską o królewiczu. Królewicz ów dostał się był do nieumierającego świata. W świecie tym nie było łez i cierpienia, nie było pracy, a nadewszystko nie było śmierci, natomiast było wieczne używanie przyjemności i szczęście, żadną niezamącone troską. Ponieważ jednak w bajce kryje się najczęściej jakaś głębsza myśl, sprobujecie tę myśl sami odgadnąć *).

Narcyza Żmichowska jest jako poetka i pisarka wielką naszą chlubą, sława jej sięgać będzie w przyszłe wieki. Miała ona przy wysokiej nauce i głębokim rozumie, najczystsze kochające serce; sercem tem objęła i ukochała wszystkich ludzi. W tem ukochaniu jednak lud polski pierwsze zajmował miejsce.

Kilkadziesiąt lat temu, w owych czasach, kiedy wrogowie nasi wszystkie wytężyli siły, by Polaków zgnieść i wygładzić z oblicza ziemi, kiedy zabroniono zakładać szkółek, zabroniono uczyć dzieci wiejskie z umysłu, by wzrósłszy w ciemnocie, stały się powolnem i przydatnem narzędziem w rękach takich szatanów, jakimi oni byli, wy, drodzy Bracia i Siostry, byliście nieustanną troską jej życia, do was wysyłała wszystkie swoje najlepsze uczucia i słowa, wcielając je w czyny swojego życia.

„Bóg dla człowieka w człowieku, nie stworzył sługi, lecz brata“.

„Kto ma w głowie więcej światła, ten drugim świecić powinien“ — pisała i głosiła na wszystkie strony, mając wasze oświecenie i wasze dobro na myśli.

Wielka ta wasza przyjaciółka, która także pisywała pod imieniem Gabryeli, urodziła się 1819 r. w Podlaskiem, na wsi. Przyjście jej na świat matka życiem przypłaciła, ale w ostatniem tchnieniu swojem pobłogosławiła swoje drogie niemowlę słowami: „Boże chroń to dziecię ode złego“.

Przyjął Bóg błaganie umierającej matki i ziścił w sposób najzgodniejszy ze swymi wyrokami. Nie miała Narcyza Żmichowska łatwego bytu na świecie, owszem ciężkim był znój i dorobek całego jej życia, ale dał jej Bóg najcenniejszy dar, dał jej wielką miłość ludzi, przyjaciół wiernych i wypróbowanych, na złą i dobrą dolę życia, takich przyjaciół, na których się nigdy nie zawiodła.

*) Donieść redakcyi *Przodownicy*.

Niezamężna, wszędzie, gdzie się obróciła, miała wybraną rodzinę przyjaznych i poświęconych sobie serc.

Nad wiekiem dziecinnym sierotki widocznie Bóg czuwał, bo ją oddał sercu jej stryjenki Tekli. Pod jej opiekuńczem skrzydłem nauczyła się kochać Boga i bliźnich — tutaj rozwinęło się w jej dziecinnem serduszku wielkie do ludu przywiązanie, a najmilsze chwile, jakie w życiu spędziła, były chwile wśród was, na wieczornicach prządek spędzane. Miała wówczas lat pięć. Póżniej, jako sławna już autorka, opisała te chwile w powieści pod tytułem „Prządki“ jako wspomnienie dziecinnego wieku. Z tych wspomnień przytaczamy wam niektóre wyjątki z tem gorącem pragnieniem, abyście w czytaniu ich znaleźli przyjemność i korzyść.

Podajemy wam także jej prześliczną modlitwę do świętej Cecylii z prośbą, by wasze dzieci nauczyły jej się na pamięć, bo cała historya i chwała naszego narodu jest w niej wysłowiona. Wasze dzieci przekażą ją swoim dzieciom i tak z pokolenia na pokolenie, aż do chwili, dopóki nie wymodlimy razem wskrzeszenia naszej Polski u Boga.

Załączamy wam również tej autorki „Głos Pański w więzieniu“, bo trzeba wam wiedzieć, kochani Bracia i Siostry, że za jej miłość dla ludu i miłość dla Ojczyzny moskale przyaresztowali ją w Warszawie w końcu października 1849 roku i osadzili w Lublinie w więzieniu, w którem przesiedziała dwa lata i cztery miesiące. Więzienie było ostre przez zakaz książek, papieru i wszelkich ze światem stosunków, ale je przetrwała przy pomocy Bożej, umarła dopiero 1876 roku w Warszawie.

Na zakończenie wydrukuje się jeszcze dla was jej piękną powieść pod tytułem „Dańko z Jaworu“ i rzewny wierszyk „Podarunek“.

Narcyca Żmichowska nie ma dotąd żadnego pomnika, ale najpiękniejszym pomnikiem było całe jej życie i ta spuścizna, która po niej została w utworach jej pióra, będzie ona zawsze żywem słowem, najtrwalszym, najplenniejszym posiewem miłości Boga, miłości bliźniego i cnoty.

Walerya Stacherska.

PRZĄDKI.

Ze wspomnień dziecinnego wieku Narcyzy Żmichowskiej.

Ach jak ja pamiętam stryjenkę Teklę, jak ona, len biały rozdzieliwszy, sama siadła przy kominie z dziewkami, a ja przy niej na ławie bezczynna, bo jeszcze za drobne miałam do przędzenia palce, jednak w późną noc czuwając, tak mi się spać nie chciało, tak zawsze wypraszałam się od łóżka. Ha! trzeba też przyznać, że na dziesięć mil dokoła nigdzie równie pięknych, jak u uas, nie opowiadano bajek, a nasze prządki chwaliły się też, że i len nigdzie tak biały nie był i ze lnu tak cienka nitka nie skręcona. Tkacz to samo o naszych talkach powiedział, okoliczne wioski wcale temu nie przeczyły, sława naszych dziewczyn rozchodziła się daleko.

Była to sobota — walne zebrało się grono, bo w poniedziałek miał tkacz przyjść po przędziwo, a jeszcze wiele talek do zmotania i do uprzędzenia się zostało. Pani przeznaczyła nagrodę dla najpilniejszej — śliczną, czerwoną wstążkę, kwartę orzechów i parę rumianych jabłek, a po wsi kazała ogłosić, żeby wszystkie kobiety, umiejące tylko trzymać wrzeciono i ruszać kołowrotkiem, przyszły do dworu na robotę.

Zebrało ich się też niemało; jak komin obsiadły, jak się przy małej świeczce nagromadziły, to aż się ciemno w izbie zrobiło.

Na zwykłem mojem miejscu siedziałam cichuteczko z otwartemi oczyma, bo tylko czekać było trzeba, rychło się zaczną bajki i powieści. Pozwalała mi ich słuchać moja przybrana matka. Och! wiedziała ona dobrze o tem, że z prostych ust wieśniaczych nic tak zdrożnego nie wyjdzie, coby skazić duszę, zepsuć serce dziewczęcia mogło. Czuwała ona i nademną i nad niemi.

Owego więc sobotniego wieczora zwykłą koleją zaczęto od pieśni. Była między dziewuchami Ulina, najwięcej umiejąca piosneczek. Wszyscyśmy uszu nadstawiali, a ona zaśpiewała:

Jak dzień po dniu w polu świta,
Tak dzień po dniu raniuteczko
Jasio swoją Kasię wita
Na dzień dobry pioseneczką.
„Kasiu moja, Kasiu miła!
Jutrzenkać już zaświeciła,
A mnie pług czeka z robotą:
Twoją najpierw zorzę grzędę,
Dla ciebie pracować będę,
Oj dla ciebie z ochotą!
Oj! dla ciebie, Kasiu droga!

Choćby mi się całe ciało
Krwawym potem oblać miało,
Będę jeszcze chwalił Boga,
Będę go chwalił na niebie,
Że dał pracować dla ciebie.
Śpij Kasienko, śpij kochanie!
Tobie jeszcze wstawać wcześnie;
Ja ci śpiewam, by śpiewanie
Przypomniało Jasia we śnie.
Śpij spokojnie, jak w niedzielę,
Matula cię nie wyłaje!
Jaś za ciebie rano wstaje,
Jaś za ciebie zagon spiele
Nie chcę krówki, nie chce chaty,
Oj! nie chcę żadnej zapłaty!
O skarby świata nie stoję,
Tylko ty, dziewczę, bądź moje!“

Pochwaliły wszystkie prządki piosenkę Uliny. Po niej zabrała głos Petronela kowalka, która na wieczorynkach najpiękniejsze opowiadała bajki.

Odchrząknąwszy, tak mówić zaczęła bajkę o królewiczu.



Bajka o królewiczu,
który dostał się do nieumierającego świata.

Był jeden król bardzo bogaty, miał syna, którego z całej duszy kochał. Dał mu połowę swego królestwa, sto prześlicznych koni, złota pełne skrzynie i kazał mu przywieźć najpiękniejszą księżniczkę za żonę. Ale królewicz niczego nie chciał, królewicz był blady, smutny, zawsze chodził zamyślony i martwił tem swego ojca. Aż nakoniec jednego razu, nie mogąc wytrzymać, rzucił się do nóg królowi i tak go zaczął prosić:

— Mój ojcze! już mi dałeś wszystko, co mi dać mogłeś, a ja przecie weselszy nie jestem. Oto lepiej odbierz wszystko, a mnie pozwól niech sobie w świat pójdę, bo mnie tu strasznie ciężko, nudno.

Król, słysząc tę mowę, załamał ręce i rzekł do królewicza:

— Mój synu, przez Boga namyśl się, co tobie jest w głowie? Tu ci przecież najlepiej, tu wygodnie, tu ciepło, stoły suto zastawione, a dyamentów, jak kamieni w polu!

Lecz królewicz ciągle odpowiadał:

— Tu mi strasznie ciężko, nudno! Pozwól ojcze, niech w świat pójdę, niech zobaczę, jak to może być głodno, kiedy chleba nie ma. Pozwól ojcze, może ja też gdzie do piękniejszego trafię królestwa. gdzieby ludzie nie umierali, bo cóż to wszystko znaczy, co my tutaj mamy; przyjdzie śmierć kościana i wszystko jej, nie nasze będzie.

Tak długo, długo prosił królewicz, że aż nakoniec musiał mu król pozwolić według tej dziwnej chęci działać. Dał na drogę synowi przepysznego konia i worek pełny dukatów. Ruszył królewicz z przed ojcowskiego zamku, aż go taki obłok kurzu zasłonił, że w nim tylko niekiedy migały złote końskie podkowy. Jechał trzy dni i dwie nocy, a trzeciego wieczora wjechał w ogromną puszczę. Była to taka ogromna puszcza, że ją ledwie przez dziesięć lat, i to ciągle galopem jadąc, można było wzdłuż przejechać.

Królewiczowi było nakoniec i głodno i chłodno, jednak dalej jechał. Aż wtem spotyka trzech zbójców, bardzo się z sobą kłócących.

Jeden zbójca uchwycił królewicza za rękę i okropnym głosem odezwał się do niego:

— Oto widzisz człowieku, nas tu jest trzech i mamy trzy rzeczy, na których podział zgodzić się nie możemy. Mamy taki koc, że jak się kto nim przykryje, to nikt go z ludzi wtedy nie zobaczy: dla zbójcy i złodzieja jakiż to skarb wielki!

— Ale mamy jeszcze takiego konia, co po powietrzu lata i tam każdego niesie, gdzie tylko mu się rozkaże: dla podróżnych i spieszących się cóż to za dobro nieocenione!

— Ale mamy jeszcze taką złotą gałkę, która kiedy się nią potoczy, to póty leci, aż się tam zatrzyma, gdzie skarb zakopany leży: dla wszystkich ludzi na świecie cóż to za pożądana wskazówka!

— Otóż powiedz człowieku, co któremu się należy, bo jak nas dobrze nie rosądzisz, to pewna śmierć twoja.

Królewicz pomyślał trochę i tak rzekł do zbójców:

— Mnie się zdaje, panowie zbójcy, że wszyscy do wszystkiego macie równe prawo, ale ponieważ gałka złota i najwięcej warta i każdemu z was najlepiej się podoba, więc pozwólcie, niech ja ją rzucę; kto najpierwszy dogoni gałkę, to ją sobie weźmie, kto drugi przybiegnie, będzie miał konia, a trzeciemu koc się dostanie. Podobno tak będzie najlepiej.

Zbójce spojrzeli po sobie i dali znak królewiczowi, że im się ten sąd podoba, a królewicz odwróciwszy się ku drodze, jak cisnął gałką, to tak, że o ćwierć mili odskoczyła. Zbójce dopieroż w pogoń za nią, a ona coraz, coraz prędzej biegła, zbójcy ciągle za nią biegli, aż wreszcie ze zmęczenia pomarli. Królewicz tymczasem odział się w koc i krzyknął:

— Dalej, dalej koniu! Nieś mnie tam, gdzie nie umierają ludzie, ni zwierzęta.

Koń wszystkiemi czterema kopytami zerwał się z ziemi i leciał po chmurach, jak po bitej drodze, a jak z krzemienia od podkowy, tak z obłoków od jego kopyt gwiazdy niby iskry pryskały. I długo, długo lecieli, aż się koń zatrzymał na prześlicznej łące, przed cudownym pałacem, a na tej łące trawa była jedwabna, a na tym pałacu same dyamenty świeciły, a dokoła wysokie drzewa rosły, a na drzewach mnóstwo było najpiękniejszych owoców.

Królewicz obszedł pole dokoła, nigdzie nie mógł drzwi znaleźć, chciał urwać owoców, nie udało mu się, bo to były zaczarowane owoce, które tylko z okien pałacu zbierać się dawały. Puścił konia na łąkę, sam nie wiedząc co robić, zaczął smutnie się przechadzać, aż wtem tak miły, tak piękny śpiew dał się słyszeć, że zdumiony królewicz o głodzie i zmęczeniu zapomniał. Skoro śpiew ustał, otworzyło się okno i spuściła się z niego na złotym tronie piękna panna, jakiej nigdy ludzkie oczy nie widziały. Była cała biało ubrana, w srebrzystej sukni, a na głowie miala wieniec ze złotych liści.

Nie spostrzegła królewicza, bo był kocem owinięty, pobiegła na łąkę, uzbierała ślicznych kwiatów, w koralowy dzbanek zaczerpnęła wody ze źródła, a potem znowuż na tronie swoim usiadła i wzniosła się do góry; lecz tym razem już nie sama była, usiadł przy niej królewicz, a zawsze w swój koc owinięty.

Kiedy się już do pałacu dostali, wyszło sześć pięknie ubranych kobiet i odebrało od siostry uzbierane kwiaty i koralowy dzbanek. Wszystkie po kolei z niego piły; zaczęły potem robić z kwiatów równianki i rozmawiać z sobą, a kiedy mówiły, to zawsze takim miłym śpiewem, że królewicz dosyć się go nasłuchać nie mógł.

A jedna z nich odezwała się do tej, z którą on przybył:

— I cóż siostro, tobie tęskno! My wszystkie mamy mężów, tyś sobie żadnego jeszcze upatrzyć nie mogła?

— O ja czekam na królewicza, któryby sam do mnie przyszedł, nie żebym ja sobie po niego chodziła.

— To jeszcze długo będziesz czekała, siostro, bo jakże tu może przyjechać królewicz?

— Niech przyjedzie obłokiem, niech odstąpi skarbów złota, to mu podam wody z koralowego dzbanka, to go sobie za męża wezwę.

Jak to usłyszał królewicz, tak zrzucił z siebie koc, uklęknął przed śliczną panną i odezwał się do niej:

Obłokiem tu przyjechałem
Po jasnem niebie,
Złota, skarbów zaniechałem,
By znaleźć ciebie!

I tak jej wszystko w wierszach opowiedział, i panna podała mu wody z koralowego dzbanka i rzekła do niego, albo raczej zaśpiewała:

— Jesteś teraz mężem moim w nieumierającym świecie i póty nim będziesz, póki się sam stąd nie wydalisz.

Tak więc królewicz rozpoczął najszczęśliwsze życie ze swoją żoną. Owoce zbierał razem z sześcioma mężami sześciu sióstr swojej żony, z żoną rwał kwiaty na łące, chodził po wodę źródlaną, od najsłodszego słodszą miodu, i nie myślał nawet, że czas ciągle ubiega.

Raz jednak zasmucił się i rzekł do swojej żony:

— Słuchaj-no, kochanko moja, chciałbym ja bardzo na ziemię powrócić i zobaczyć, co też się dzieje w królestwie mojem, co w domu ojca mojego?

A żona mu na to:

— Mój śliczny królewiczu, dawno już wody przepłynęły nad domem twego ojca, dawno już porobiły się przepaści z najwyższych gór twego królestwa. Nie oddalaj się mój królewiczu, bo nie wrócisz więcej.

Lecz on mówił z wielką pewnością:

— Ej, wrócę, zobaczysz, że wrócę. Nie zsiądę z mego konia i tylko na dawniejszą swoją ziemię z chmury choć raz spojrzę.

— Nie, nie zobaczysz, śliczny królewiczu, bo tam już jeno wody a przepaści.

— Gdzieby to prawdą być mogło? Przecież zostawiłem śliczne ogrody i żyzne pola w dziedzictwie mojem.

— A jakże ci się zdaje, czy dawno już temu?

— O tak, może być ze trzy lata.

— Jest już trzy tysiące lat. Nie jedź, nie jedź, mój królewiczu, bo nie wrócisz więcej.

Ale jak on usłyszał, że już trzy tysiące lat minęło, tak go jeszcze większa ciekawość zdjęła.

Nic nie mówiąc żonie, sam się spuścił na łąkę, odział kocem, dosiadł konia i jak prędko niegdyś z ziemi był przyjechał, tak prędko znowuż ku ziemi się spuszczał.

— Nieś mnie, kędy było królestwo moje! —

A koń uniósł go bardzo prędko, a królewicz wydziwować się nie mógł, co to przez ten czas z ziemią się zrobiło, jakie pyszne ogrody się wzniosły, jakie ogromne domy po wodach pływały; coraz coś piękniejszego nęciło go, żeby się przybliżył. Ale królewicz, pamiętny na to, co żonie przyrzekł, silnie trzymał za cugle, wszelkim

pokusom się opierał. Nakoniec i koń się zatrzymał. Spojrzał królewicz na dół, aż tu w jego oczach wszystko tak, jak dawniej było; więc pomyślał sobie:

— Mój Boże, co mnie też powiedziała moja żona z nieumierającego świata, że dawno wody przepłynęły nad ojcowskim domem i że przepaści porobiły się z najwyższych gór królestwa mojego; przecie tu jest wszystko, jak gdybym ja był wczoraj wyjechał dopiero.

Królewicz patrzył na dół z coraz większą ciekawością i co chwilka, to bardziej się spuszczał tak, że nawet mógł wszystko słyszeć, co na ziemi mówiono. Aż tu mu przed oczy wychodzą dworscy i niosą śliczne ubiory, pełne złota skrzynie i biedują, że nie ma dobrego, jedynego tych skarbów dziedzica.

Królewicz na swoim koniu, kocem odziany, cichuteczko siedział.

A tu wychodzi stary żołnierz i zaczyna go chwalić i zaczyna wyrzekać, że już swojego młodego pana nigdy nie obaczy.

Królewicz na swoim koniu, kocem odziany, cichuteczko siedział.

A tu wychodzi stary ojciec król i woła: Mój synu! mój synu! gdzież ty jesteś?

Królewicz na swoim koniu, kocem odziany, ciechuteczko siedział.

A tu wychodzi piękna księżniczka, dawna jego narzeczona, i jak zacznie śpiewać:

— Dobrze, dobrze, że królewicza złe duchy porwały, bo był brzydki, zły i głupi.

Królewicz rozgniewany zrzuca koc, puszcza konia i leci prosto na ziemię, wołając całym głosem: „Niegodziwa!“ A tu go śmierć coprędzej za rękę porwie.

— Ha! mam cię ptaszku! już przez trzy tysiące lat szukam cię po ziemi, już wszelkimi przywabiam sposobami, a ty zawsze w chmurach się chowałeś — ha! mam cię teraz.

I nie mówiąc wiele, jednym zamachem kosy głowę mu ucięła, a ciało wrzuciła do morza. Bo naprawdę morza i przepaści były na miejscu dawnego królestwa, i tylko śmierć zwodnica kłamliwe na nich pokładła obrazy.

Żona napróżno wyczekiwała powrotu swego ukochanego królewicza, ale on już nie wrócił. Wtedy tak sobie nieumierający świat sprzykrzyła, że raz zobaczywszy królewskiego konia, który sam wrócił na łąkę przed pałac, bo mu na niej bardzo trawa smakowała, siadła mu na grzbiet i tam się nieść kazała, gdzie jej mąż umarł, a przyjechawszy nad wielkie wody, zmówiła Ojcze nasz, Zdrowaś Marya i skoczyła w morze.

Żmichowska.

Modlitwa do świętej Cecylii!

Za ludem, który nigdy hufcami zbrojnymi
Obcej, dla marnych łupów nie najeżdżał ziemi,
Który choć silny, słabszych nigdy nie ciemiężył,
Który jak braci kochał tych, których zwyciężył,
Który miodem swych lasów, chlebem swojej roli
Sam żył i dla przechodniów miał zawsze do woli,
Za ludem cichej cnoty i poczciwej sprawy,
Spokojnego sumienia i chwały bezkrwawej,
Módl się Twą pieśnią w niebie, o Cecylio święta:
Rolników swoich niechaj Bóg pamięta.

Za ludem, który całą swą powieść dziejową
Ułożył w jednę wielką wyprawę krzyżową,
A nie grobu Chrystusa, lecz Chrystusa wiary
Strzegł pilnie przed dzikimi Turki i Tatary:
Za ludem, Europy tarczą i podporą,
Co ginął pod Lignicą, Sokalem, Cecorą,
Pod Chocimem i Wiedniem, aż księżyc dwurogi
Na zdeptanie dał Pannie Maryi pod nogi,
Za ludem czujnej stróży od plagi pogańskiej,
Za ludem poświęcenia i służby kapłańskiej
W habicie z kutej zbroi, w kapturze z przyłbicy,
Ludem mężnego serca i dzielnej prawicy.
Módl się Twą pieśnią w niebie, o Cecylio święta:
Żołnierzy swoich niechaj Bóg pamięta!

Za ludem, który z piękną Jadwigą królową
Niósł Litwie Ewangielii wiekuiste słowo,
Który najpierwszy w dziejach i ostatni razem
Nie długą pracą wieków, nie władzy rozkazem,
Ale chwilą zapału — wielką chwilą, cudem,
Lud braterski pojednał z najezdników ludem:
I jak w kościele wiary, sakramentu wodą
Tak w kościele historyi, ochrzcił praw swobodą:
Za ludem, który krzyże wśród pogaństwa stawiał,
Za ludem, który kochał, oświecał i zbawiał,
Módl się swą pieśnią w niebie, o Cecylio święta:
Apostołów swoich niechaj Bóg pamięta.

Za ludem, który teraz nie ma pyłku ziemi
Za przyznaną Ojczyznę pod stopy swojemi,
Za ludem od trzech ludów trzykroć rozszarpanym,
Przed stu laty zgnębionym, po dziśdzień zwalczanym,
Za ludem biednych ojców, ludem smutnych matek,
Pomordowanej młodzi i sierocych dziatek,
Ludem, któremu wydrzeć chcą przeszłości dzieje,
Poznanie prawd ojczystych, zbawienia nadzieje,
I tę ostatnią nawet pociechę w złej doli —
Cichą skargę Jeremich — pieśń smutku w niewoli:
Więc za ludem łez krwawych i ciężkiego losu,
Za ludem tym milczącym, bez pieśni, bez głosu,
Módl się Twą pieśnią w niebie, o Cecylio święta:
Męczenników swoich niechaj Bóg pomięta.

Żmichowska.

Głos Pański w więzieniu.

Tęskniąca, niespokojna, w nadziei zachwiana,
Z celi mojej więziennej wołam ja do Pana:
Panie, jeżeli zechcesz, daj cięższe więzienie,
Daj mi od ukochanych moich zapomnienie,
Daj potwarz na me imię, w me słowa niewiarę;
Daj, jak młodość bez szczęścia, bez czci lata stare,
Daj Panie! spełnię każdej boleści truciznę.
Tylko wróć mi ojczyznę, Panie, wróć ojczyznę!
A duch Pański rzekł:
Jaką?
A jam znów wołała:
Taką, jak była niegdyś Polska moja cała,
Polska pradziadów naszych, Chrobrych, Polska [dawna,
Silna, straszliwa wrogom, u sąsiadów sławna,
W wolności wszystkie inne przodkująca państwa!
Miecz na karku pohańców, tarcza chrześcijaństwa!
O! niech taka powstanie, niechaj ze swej stopy
Otrząśnie na wpół zgniłe błoto Europy;
Niech te, któremi dzisiaj karmiona jedynie,
Wzgardę, nienawiść, podłość w jednej zbierze ślinie,
I stopą niech rozdepcze nową dzicz tatarską,
I śliną niechaj splunie na koronę carską —
Ja takiej chcę ojczyzny, ja chcę Polski takiej!
Ludzie, ziemia, powietrze, dzieje, barwy, znaki,
Wszystko co w niej kocham, chcę wszystko mieć [razem,
I wojowników zbrojnych ojczystem żelazem,
I srebrnego orła na polu czerwonem,
I pogoń z mieczem wiecznie do góry wzniesionym,
I od ujścia do źródła każdą, która płynie,
Świętą wody kropelkę w Wiśle, Odrze, Dźwinie,
I każdy proszek ziemi, bliski czy daleki,
Na imię świętej Polski ochrzczony przed wieki;
I chcę, niech każde serce w każdem polskiem łonie
Jak przed wieki odwagą i szczęściem rozpłonie:
Niechaj prysną kajdany z Sybiru ostoi,
Niechaj tu wrócą zaraz wszyscy bracia moi!
O! siły! o swobody! o wolności wszędzie!
A świętość Twoja będzie i cześć Tobie będzie!
Ja takiej chcę ojczyzny, takiej Polski. Panie!
A duch Pański milczał na moje wołanie.

Żmichowska.

PODARUNEK.

Zapłakała — przeżegnała,
Pieścioneczek dała swój,
Jam go schował, ucałował
I ruszyłem w świat!
Jak ruszyłem, nie tęskniłem,
Bo świat takim pięknym był!
Cud przy cudzie — kwiaty, ludzie,
Młodociane dni!
Och! zrywałem — och! kochałem,
I mówiłem sobie tak:
Tu co chwila szczęścia tyle,
Skarbów tyle mam.
Kwiatów wonie — bratnie dłonie
Zewsząd do mnie garną się!
A tam ona zasmucona,
Dała tylko łzę.
Łzę mi dała — przeżegnała.
Pierścioneczek dała swój...
W podróż całą to zbyt mało,
Ja chcę więcej mieć.
Tak mówiłem i pędziłem
Coraz dalej, dalej w świat,
Aż bez siły, u mogiły
Zatrzymałem się.
Patrzę wkoło, schylam czoło,
Szukam kwiatów, zwiędły już,
Szukam ludzi — wzrok się trudzi
Nie zostało nic!
Tylko z wrażeń i wydarzeń
Została pamięć jej łzy...
Ach! i został, ten com dostał,
Pierścioneczek jej!

Żmichowska.

Jak żyją góry, morza i rzeki?

Patrząc na otaczające nas góry, rzeki lub morza, nieraz nasunąć się może myśl, jakie to wszystkie zawsze jednakie, stałe, niezmienne wobec życia ludzkiego! Ludzie żyją, pracują, cieszą się i umierają, po nich przychodzą inni i znów inni, a rzeki i morza zawsze jednakowo się poruszają, a góry i skały stają nieruchome wieki całe.

Ale czy zawsze tak było? Czy też i one nie mają swego życia, swego początku i końca? Jeśli mają, to czemże były dawniej?

Otóż jest osobna nauka, t. zw. geologia, która zajmuje się poznaniem życia naszej ziemi.

Tak, bo ziemia nasza nietylko tem żyje, co widzimy zewnątrz niej, tą roślinnością, która ją okrywa; nie, ma one życie głębiej ukryte, ma swoją historyę długą, dziwną i tak zajmującą, jak żadna historya ludzka.

Nasza kula ziemska była niegdyś niczem innem, tylko kulistą masą rozpalonych płynów, roztopionych metali; żarzyła się i świeciła jak świeci nam słońce. Wtedy, rozumię się, na niej nic żyć nie mogło. Ta rozpalona bryła przebiegała przestrzeń nieba i obracała się w koło siebie, tak jak i dziś się obraca i biegnie...

Powoli jednak stygła jej powierzchnia i okrywała się skorupą, a gdy ta coraz grubszą się stawała, utworzyła to, co nazywamy ziemią. Ale kula ziemska nie ostygła zupełnie, wewnątrz jej jest jeszcze dotąd ogień; a nawet w głębokich kopalniach przekonać się o tem można, gdyż im głębiej się zapuszczamy, tem większe ciepło uczuwamy. Zresztą w niektórych miejscach buchają wprost z ziemi źródła wody gorącej — skądżeby się ona tam wzięła, gdyby nie rozgrzał jej ogień wewnątrz ziemi będący?

A wulkany! Te góry, które z otworu na swym wierzchołku wyrzucają potoki lawy, czyli rozpalonego metalu i chmury dymu! Lawa wypływa z nich jak kipiąca rzeka, okrywa spadzistości góry, często zalewa całe wsie i miasta, potem stygnie i zostaje nieruchoma i twarda jak kamień na powierzchni ziemi.

Skądże ona przyszła? Z wnętrza ziemi. A na jej miejsce cóż pod ziemią pozostało? Pozostała pustka. Nad nią zaś rozciąga się skorupa ziemska. To też zdarza się często, że ta skorupa wpadnie nagle do powstałej pod nią pustej przestrzeni, zawali się i zniknie w głębinie. Jest to t. zw. trzęsienie ziemi. A jeśli obok zapadniętego obszaru znajduje się rzeka czy morze, co się z niemi staje? Rozumie się, napływają one tam, gdzie niżej, zajmując miejsca dawnej płaszczyzny ziemskiej, a nawet nieraz zdarza się, że i góra się zapadnie. A więc widzimy, jak może zniknąć ziemia a powstać na jej miejscu morze.

Ale, powiemy, to się dzieje tylko tam, gdzie są wulkany, a u nas na szczęście ich niema, więc te góry nasze i rzeki są odwieczne! Ale jakto! przecież ziemia cała była niegdyś rozpalona i wszędzie stygła, t. j. kurczyła się, marszczyła się jej skorupa.

I im dalej, głębiej stygła, tem bardziej zmnieniała się jej postać, miejscami wylewała się przez wulkany lawa, a potem wulkany te gasły i zanikały, w innych znów miejscach zapadały się całe obszary, a nieraz morza nagle znikały i przelewały się gdzieindziej, bo ziemia gwałtownie podnosiła się w tem miejscu, wypierana siłą gazów, wewnątrz kuli ziemskiej będących.

Póki zatem skorupa ziemska nie zastygła, działy się na niej straszne przewroty, zapadały się i wznosiły góry, zjawiały się i ginęły morza i rzeki. Trudno w to wierzyć, patrząc na spokojną teraz ziemię, lecz mamy wszędzie wyraźne ślady tych przewrotów. Na szczytach gór np. znajdujemy pomiędzy kamieniami szczątki lub ślady roślin i zwierząt takich, które tylko pod wodą żyć mogły. A więc kiedyś góry takie jak Tatry a i większe stały pod wodą, a potem się nagle podniosły.

Zobaczymy, co się znajduje w głębokich kopalniach. W najgłębszych, jakich dosięgnąć możemy, znajdujemy szczątki zwierząt i roślin, a zatem musiały one kiedyś być na powierzchni ziemi, a ta cała masa nasunęła się na nie później wskutek gwałtownego jakiegoś wstrząśnienia.

Kopalnie węgla kamiennego mówią nam ogromnie wiele. Wszak węgiel kamienny powstał nie z czego innego, tylko z lasów, wogóle z roślinności później skamieniałej. Odnaleść jeszcze dotąd można w węglu ślady kształtów roślinnych! A pod pokładem węgla zawsze znajduje się nie skała, ale pokład gliny, na której rosła niegdyś ta roślinność, a nawet na tej glinie znać ślady korzeni drzewnych. Tymczasem węgiel ten wykopujemy z głębin ziemi, zapadł się więc tam kiedyś.

Jak się z roślinności tworzą kamienie, przekonywamy się o tem naocznie; w miejscach, gdzie jest płytka woda na gruncie mulistym, gdzie są moczary, gnije w nich ciągle zarastająca je roślinność, a gdy woda coraz bardziej znika, twardnieje, i staje się t. zw. torfem, materyałem twardym, który również jak węgiel używa się na opał.

Są całe okolice pokryte warstwą kredy, są góry kredowe, a czemże jest kreda? Kreda powstała cała ze szczątków zwierzęcych i jeszcze teraz na niejednym kawałku widzieć można muszle i inne skorupki morskich żyjątek, bądź całkowite, bądź pokruszone. A więc i te ziemie i te góry wyłoniły się z wód!

Przesunęły się przed naszemi oczyma olbrzymie zmiany, przez jakie przechodziła ziemia. Czy wobec tego nie wydaje się nam nasze życie z jego troskami i uciechami jako życie małych robaczków!

Ale i bez gwałtownych objawów zachodzą na ziemi znaczne zmiany, tak np. niektóre wybrzeża morskie podnoszą się, z niskich stają się powoli wysokiemi, morze więc musi ustępować: miasta, które przed laty były na samym brzegu morza, znajdują się teraz w oddaleniu i porty dawne stają się skałami niedostępnemi dla żeglarzy. Inne zaś brzegi stopniowo się pogrążają w morze, ustępując mu swego miejsca. Dzieje się to często wskutek tego, że rzeki, niosąc ze



TADEUSZ KOŚCIUSZKO.



Rysunek Artura Grottgera.

PRZYSIĘGA.

sobą w szybkiem swojem prądzie piasek i żwir, zasypują niemi dno morskie, robią się mielizny, które wypierają wody morskie i te zalewają pobliskie wybrzeże. Nie wspomnieliśmy jeszcze o zmianach, zachodzących w górach, których szczyty szarpane przez wiatry, śniegi i deszcze, pokrywają się szczelinami, a zamarzająca w nich woda rozsadza nieraz skałę, a przynajmniej ją kruszy; na wiosnę zaś, woda, zbiegając unosi szczątki jej, zabiera po drodze kamienie i niesie je w doliny. Stąd pasmo gór ulega powolnemu, ale stałemu przeobrażeniu, a doliny i rzeki napełniają się kamieniami lub piaskiem, ten zaś idzie do morza i wytwarza tam mielizny.

A zatem ciągłe zmiany: ciągle życie kipi pod pozornym spokojem, wszystko się rzuca, spieszy, dokądciś. Ziemia nie jest martwą bryłą, ale życiem swem pobudza jeszcze do życia żyjących na niej ludzi, pobudza do gorącej pracy i działalności, do rozwoju i rozkwitu. Nie mogą i nie powinni oni spokojnie przypatrywać się pracy ziemi, muszą też według sił i możności opracowywać i oni dostępną dla nich skorupę ziemską i powinni też rozumem i myślą wglądać wewnątrz jej, żeby wiedzieć, jakie też jest i jej życie i jej działalność. *Z.*

Karta z pamiętnika z przed 37 laty.

(Dokończenie).

Opowiem Wam teraz, jak to strasznie znęcali się i pastwili Moskale nad naszymi powstańcami, jeżeli ci, pokonani, dostawali się żywem w ich ręce.

Otóż pewnego razu z powodu wyjazdu Kruka, naczelnika sił zbrojnych województwa Lubelskiego i Podlaskiego, pułkownik Wierzbicki objął nad oddziałem naszym dowództwo, chciał się pochwalić, jakiemi siłami dowodzi, a może i dla tego że wiele szlachty nie wierzyło iż jest tak dużo i tak dobrze uzbrojonych, i urządził wielki marsz przez powiaty krasnostawski, janowski, hrubieszowski itd.

Przez parę dni oddziały ciągle koło naszego dworu przechodziły, widzieliśmy wtenczas oddziały Rutoskiego, Krysińskiego, Szydłowskiego, Ćwieka, Janowskiego i wielu innych, których już nie pamiętam. Do nas na noc przyszły oddziały Leniewskiego i Lutyńskiego, a w końcu sam pułkownik Wierzbicki nadciągnął ze swoją kawaleryą. Był to mały oddziałek, składający się tylko z 80 koni doborowych. Dobrze byli uzbrojeni, w popielatych mundurach z białemi wyłogami, z tegoż samego sukna batorówki na głowach dopełniały stroju. Oddział ten złożonym był przeważnie z samej szlachty, ale karność była tak wielka, iż wszyscy ci paniczyki musieli spać w stajni przy swoich koniach. Sam pułkownik Wierzbicki bardzo wspaniale wyglądał, był wtenczas trochę ranny, więc utykał na nogę, miał przy boku felczera, ale obozu nie opuszczał. Wierzbicki był dawniej pułkownikiem w tureckiem wojsku, lecz na wieść, że u nas powstanie, powrócił do kraju i objął dowództwo. W tych trzech oddziałach, które u nas wtenczas nocowały, było przeszło 600 ludzi, ja całą noc stałam przy samowarach, których 4 bezustannie nastawiono i ciągle wszystkie buchały parą. Równo z brzaskiem dnia odeszły tamte oddziały, Wierzbicki, że był trochę chory, spał dłużej, dopiero o godzinie 7-mej rano odjechał.

Położyłam się i ja trochę, lecz ani pół godziny nie spałam, gdy mnie obudzili, dając znać, że Moskale idą. Wtenczas pierwszy raz i ja zlękłam się trochę, bo wiedziałam, że w domu jest paru powstańców z ran się leczących i szwager, którego moskale szukali i słomy po nocujących tu powstańcach pełno było na podwórzu, której nie można było tak prędko uprzątnąć. Kiedym przyszła do jadalnego pokoju zastałam już matkę szwagra z lornetką przy oczach, śledzącą moskali spuszczających się z góry zaporskiej. Uspokoiłam się co do naszych powstańców, że już czmychnęli do lasu, który niedaleko był za ogrodem. Niebawem kilku kozaków wpadło na dziedziniec; był zwyczaj u Moskali, gdy przechodzili przez wieś, że kozacy wymykali się po kilku z szeregów, wpadali do dworów, prosząc o wódkę; jak tylko usłyszałam zbliżający się tentent ich koni, brałam zaraz gąsiorek z wódką, wychodziłam do nich i napełniałam manierki, a przy tej sposobności dowiadywałam się z czyjego są pułku i w jakiej liczbie idą. Tak było i wtenczas, a dowiedziawszy się, że pułkownik Emanow idzie na czele paru tysięcy żołdactwa, przeraziłam się okropnie. Niedługo uka-

zały się przednie straże, z których 4 oficerów wjechało na podwórze, a cała gromada wojska przechodziła dalej wprost gościńcem; wyszłam zaraz przed ganek, dla powitania ich, co im zawsze się podobało. Oni pozsiadali zaraz z koni, i pieszo podeszli ku mnie; przy powitaniu rozpoczęły się zaraz pytania.

— Tu byli Polacy?

— Byli! — odpowiedziałam.

— W jakiej sile?

— Nie wiem, przyszli w nocy więc nie widziałam.

— A dokąd poszli?

— I tego nie wiem, bo oni nie mówią gdzie idą.

— A czy wy nie wiecie, że nie wolno powstańców u siebie przyjmować?

— Wiemy! ale oni są naszymi braćmi, jakże ich nie mamy przyjmować! I rosyjskie wojska, jak przechodzą, także przyjmujemy.

Odeszli; a w cztery godziny dopędzili nasze oddziały i stoczyli bitwę we wsi Stawie. Niewiem, ilu tam naszych poległo, ale ze sztabu Wierzbickiego zginęło trzech hrabiów, a mianowicie hr. Mycielski, jak dąb olbrzymi, hr. Podleski i młodziutkie pacholę hr. Łubiński.

Słusznym był powód obawy, żeby Moskale powstańców we dworze nie zastali, bo wyszło rozporządzenie, że choćby jednego powstańca w domu jakim spotkali, mają wszystkich wymordować, dom spalić i obrócić w perzynę, czego mieliśmy bardzo smutne przykłady. We wsi Wojsławicach hr. Polityły było w domu kilku zdrowiejących powstańców. Niespodziewanie zaskoczyli ich Moskale siedzących przy śniadaniu. Otoczyli dom dokoła, jak to było ich zwyczajem. W takich razach o ucieczce lub schowania się niema mowy. Hr. Polityło, widzac to, wpadł do pokoju żony, która szczęściem nie wyszła jeszcze do śniadania, a porwawszy dzieci za ręce, żonę ciągnął za sobą i schronił się do maleńkiej komórki w bocznej sieni, pod schodami prowadzącymi na strych. Tam na pół żywi, przeczekali całą burzę; tymczasem w jadalnym pokoju rozgrywała się rzecz okropna. Moskale hulali. Jeden z powstańców schował się do szafy, z niego zrobili sobie cel do strzelania, pakując w niego kul kilkanaście. Jeden chcąc wyskoczyć oknem, został w połowie ciała piką przybity do tegoż, innych pomordowali, posiekali srebra i kosztowności zrabowali, lustra, szkła i porcelanę potłukli, meble połamali. Hrabiego od strychu do piwnicy poszukali wszędzie, przez sionkę tę przeszli kilka razy, chodząc po schodach po nad ich głowami. Cudem Bożym ocaleli, a Moskale, nasyseni mordem, z tryumfem odeszli.

Jeszcze smutniejszy wypadek zdarzył się na Litwie w Siemiatyczach u pp. Śnieszków. Jakiś mały oddziałek zmęczony, zgłodzony i zziębnięty posilali się w dworku. Moskale, podszedłszy, dom otoczyli. Mężnie się bronili nasi biedacy, ale Moskali było kilka set, a naszych zaledwie kilkadziesiąt. Z okień dworu, z okienek na strychu strzelali nasi, dokąd starczyło kul i prochu, a że każdy strzał był celny, Moskali bardzo dużo poległo, co ich do większej doprowadziło wściekłości. Podpalili dwór z czterech rogów i ani jedna żywa dusza nie wyszła; służba nawet, chcąc się ratować ucieczką, wymordowaną została. Moskale nie odeszli, aż dom cały w gruzy się rozsypał.

Jeden z krewnych naszych, Kazimierz Bogdanowicz od samego początku powstania utworzył sobie mały oddziałek i cudów waleczności z nim dokazywał; młody, bo zaledwo 20 lat liczący, małego wzrostu, nieustraszonej odwagi, odznaczał się siłą a Moskale bali się go okropnie, bo gdzie się go najmniej spodziewano, tam się zawsze znalazł. Siadał na karki Moskalom, pobił, pomordował — i znikał bez śladu; niezliczone razy był już prawie w ich rękach, a zawsze się wyśliznął. Moskale nałożyli na głowę jego 1000 rubli

Ale nie uszedł przecież swemu przeznaczeniu i samochcąc wlazł w zasadzkę. Gdy był blisko krewnych, wstępował do nich zawsze, odwiedzał też często swą matkę, która mimo małego wzrostu, wielkością ducha dorównywała najdzielniejszym matronom polskim. Będąc raz u brata ciotecznego Gustawa Jasińskiego, zostawił u niego swego konia, który wypoczynku potrzebował, a wziął sobie wypieszczoną klaczkę, zamienił także dubeltówkę, chociaż Gustaw ostrzegał go, iż ta dubeltówka często zawodzi; ale nie chciał słuchać przestrogi. W kilka dni potem, wracając od matki, został napadnięty w krzakach, przez które musiał przejeżdżać; ktoś go zdradził i Moskale tam na niego zrobili zasadzkę.

Kiedy wjechał w krzaki, w towarzystwie swego służącego, zmierzch już zapadł; niebawem usłyszał za sobą tentent i nawoływania moskiewskie „łowi igo“. Zaczął ucie-

kać, lecz pogoń coraz była bliższą, zsunął się z konia i skoczył do rowu, który był dość głęboki, żeby go ukryć; myślał że koń, spłoszony pogonią, popędzi dalej, a wypieszczona klaczka stanęła w tem miejscu, gdzie się ukrył i w ten sposób został ujęty; a i dubeltówka zamieniona zawiodła go, bo ani razu nie wystrzeliła.

— A ptica Bogdanowicz — wołali uszczęśliwieni Moskale, wioząc go z tryumfem do Lublina, gdzie po paru tygodniowem więzieniu został rozstrzelony razem z Leonem Frankowskim. Do końca był bohaterem, bo nie pozwolił sobie oczu zawiązać jak to zwykle czynią, ani przywiązać rąk do słupa, śmiało patrzył w lufy moskiewskie w niego skierowane. Matka jego poszła do generała Hruszezowa prosząc, żeby jej pozwolił zabrać ciało syna. Kiedy Hruszezew zaczął jej prawić kazanie, jakie to skutki z tego, że się buntują przeciwko carowi, odpowiedziała ona, iż dumną jest z tego, że jej syn zginął w obronie ojczyzny. Hruszezew ciała nie wydał, obawiając się większych rozruchów w Lublinie, bo Kazimierz Bogdanowicz jako młody bohater znanym był i kochanym w całym kraju.

W dniu 24 sierpnia usłyszeliśmy rano strzały armatnie, który jak głuchy grzmot do nas dochodziły. Cały dzień byliśmy bardzo zgnębieni, oczekując jakiej smutnej wiadomości, ale nikt tego dnia nie pojawił się, dopiero w nocy przyszła wiadomość, że brat mojej krewnej, Gustaw, ciężko ranny; młodszy brat jego, Albert, który bawił u nas naówczas, niezwłocznie tam pojechał, powrócił dopiero wieczorem, rozpowiadając o tej strasznej rzezi.

Naczelnik sił zbrojnych Kruk rozkazał wszystkim dowódzcom, którzy w pobliżu byli, zgromadzić swe wojska do maleńkiego lasku pod Fajsławicami, a sam z wszystkimi dowódzcami odjechał na naradę wojenną do Borowicy, majątku Floryana Chadzyńskiego, który także dowodził jednym oddziałem. Ktoś widocznie zdradził, bo wkrótce po odjeździe dowódzców przyszli Moskale i lasek otoczyli ze wszystkich stron. Rozpoczęło się strzelanie z armat. Nasi biedacy, nie mając żadnego dowódzcy, ani kogoś starszego, który by nimi kierował, potracili głowy i jak mogli bronili swego życia. Po kilku, kilkunastu lub kilkudziesięciu przebijali się przez szeregi moskiewskie; gdzie widzieli najsłabszą siłę; resztę wystrzelali jak kaczki lub wzięli w niewolę. Rannych, zabitych i wziętych w niewolę było 2000 a ledwo parę set ocalało.

Kiedy na drugi dzień pojechałam do Suchodół, majątku pp. Kułaczkowskich, gdzie naszego Gustawa przewieziono, zastałam go w tak okropnym stanie, iż zdawało się, że lada chwilę zakończy życie. Głowa ogolona, lodem obłożona była, tak samo lewa ręka, a prawa w miskach napełnionych ciepłą wodą. Leżąc na znak, z osłabienia ani mówić ani podnieść się nie był zdolny. Prócz niego było jeszcze w tym dworze przeszło 30 ciężko rannych. Także w innych dworach w pobliżu porobiono na prędce szpitale. Na cmentarz w Fajsłowicach zwieziono wszystkich poległych. Tam przyjechały matki, żony i siostry, by rozpoznać drogie im szczątki i pozabierać z sobą. A trudno było rozpoznać — tak byli pomordowani. Innych pochowano w jednym wspólnym dole, a ziemia z niego wybrana stanowi kopiec niemały.

Pojechaliśmy na pobojowisko, tam także bardzo smutny obraz przedstawił się oczom naszym. Ogromne kałuże skrzepłej krwi, szczątki ubrań, broni, ładunków — widać że nasi biedacy dzielnie sie bronili, bo szczątków było najwięcej z moskiewskich ubrań. Przy rannych tyle było zajęcia, iż przez kilka dni, ja i dwie panny Kułaczkowskie bez spoczynku czuwałyśmy, aż upadając prawie ze znużenia. Gdy nasz Gustaw cokolwiek przyszedł do siebie, opowiedział nam szczegóły bitwy.

Kiedy Moskale po parugodzinnem strzelaniu coraz cieśnieszym kołem ich otaczali, znając cośkolwiek miejscowość. Gustaw z dwoma innemi chcieli się przemknąć przez zarośla. Ruszyli galopem, ale Moskali kilku pędziło za nimi, strzelając. — Pierwszy jechał Sieniewicz. Koń jego zaplątał się, przesadzając jakiś rów i płotek. Przewrócił się, a równocześnie Sieniewicz kulą trafiony został. Gustaw tuż za nim jadąc, nie był już w stanie konia powstrzymać, by tę przeszkodę ominąć. Padł na tam tego, a zanim wydobył się z pod konia, był już przez Moskali otoczonym. Trzeci dopiero skierował koniem i uszedł szczęśliwie. Otoczony Gustaw nie mógł już palnej broni używać, bo za blisko było, a siła przeważna, trzech na jednego. Odpierał tylko ciosy pałaszem dokąd miał władzę w ręku, dopiero silne cięcie w tył głowy w oczach mu

zaciemniło i padł na ziemię. Nie stracił jednak przytomności, a bojąc się, żeby go bardzo nie męczyli, prosił ułana by go dobił od razu. Usłużny Moskal pchnął go lancą, ale tak szczęśliwie, że ta obok żołądka się prześlisnęła, robiąc dwie rany. Zapłątała się tak, że jej wyjąć nie mógł. Biedny Gustaw musiał sam dopomódz do wydobycia z siebie lancy i kazał strzelić do siebie. Moskal strzelił, gruchocąc mu kość w prawej ręce. Myśląc, że już nie żyje, Moskale odarli go ze wszystkiego, bo podobały się im bardzo jedwabne koszule, jakie niektórzy powstańcy nosili, i tak obnażonego, zemdlonego, zostawili na placu boju. Od 11 z rana do 8 wieczorem leżał w omdleniu w dzień okropnie upalny, a krew z 32 ran płynęła, dopiero chłód wieczorny ocucił go. Znając miejscowość, doczołgał się do rowu, z największym wysiłkiem zaczerpnął wody w rękę, by spieczone usta odwilżyć, a widząc w pobliżu chłopaka, pasącego konie, dał mu znak, żeby się zbliżył. Wylękły chłopak bał się zbliżyć, lecz zachęcony objetnicą hojnego datku, powoli zbliżył się, a usłyszawszy, że tym nieszczęśliwcem jest pan Jasiński, dziedzic z Puchaczowa, dosiadł konia i pędem dał znać księdzu, który niebawem z wozem, wysłanym sianem przyjechał po niego. A że u księdza nie mógł mieć należytej wygody, więc na drugi dzień, gdy młodszy brat przyjechał, zawieźli go do Suchodoł. Tam i doktór był w miejscu i wygodę większą było można go otoczyć. W parę dni potem przyjechał profesor Gersztow z Warszawy. Objeżdżał wszystkie szpitale, obcinał ręce, nogi, palce, wyjmował po kawałku kości z rąk i jechał dalej. Gustawowi odjął 2 palce u prawej ręki i kawałek kości, która od kuli moskiewskiej była strzaskaną. Przez cały miesiąc cierpiał okropnie na tę rękę, która była niemożliwie rozniesiona. Dopiero po miesiącu pokazała się gangrena i trzeba było rękę odjąć przy samem ramieniu. Inne rany bardzo prędko się zagoiły. Ubytek krwi tak go wycieńczył, że dopiero po ośmiu miesiącach zaczął się uczyć chodzić, a do zdrowia przyszedł dopiero w półtora roku. Zdrów był potem zupełnie i wyglądał znakomicie; żyje do dziś dnia, ale od parę lat już trochę niedomaga.

Walerya Ciechomska.

O sztucznem karmieniu niemowląt.

Bardzo często się zdarza, że matki z konieczności muszą dzieci swoje sztucznie karmić i znajdują się z tego powodu w kłopotliwem położeniu. Tyle bowiem w ostatnich czasach powstało różnych środków, które ci i owi zachwalają, tyle najrozmaitszych tanich mączek i kleików, które zachęcają swą taniością i łatwością przyrządzania, że nie wiadomo, co wybrać.

Powinniśmy wszakże pamiętać o tem, że jak pokarmu matki żadne najlepsze nawet sztuczne środki nie zastąpią, tak znowu ze wszystkich sztucznych pokarmów najpożywniejsze i najzdrowsze dla dziecka jest dobre krowie mleko. Na wsi nie trudno się o takowe postarać, tembardziej, że niemowlę w pierwszych miesiącach swego życia potrzebuje go bardzo niewiele, gdyż trzeba mleko w znacznym stopniu wodą rozcieńczać.

Mleko nie rozcieńczone wodą jest za gęstę i wskutek tego na pożytek dziecku wyjść nie może, przeciwnie nawet, jest bardzo szkodliwe.

Mleko z wodą należy mięszać w takim stosunku: 1) dla dzieci do trzech miesięcy życia na ćwierć szklanki mleka bierzę się szklankę wody; 2) od czwartego do szóstego miesiąca na ćwierć szklanki mleka bierzę się trzy ćwierci szklanki wody; 3) w siódmym miesiącu można już mięszać pół na pół z wodą; 4) w dziewiątym miesiącu można na trzy ćwierci szklanki mleka dawać ćwierć szklanki wody. Czyste mleko dzieci znoszą do picia od roku — wcześniej zazwyczaj źle je trawią, co wywołuje różne przypadłości żołądkowe.

Przyrządzenia mleka dla picia dziecka wymaga czasu i ostrożności. Przedewszystkiem należy mleko zaraz po wydojeniu dobrze przegotować i wynieść do chłodnego miejsca. Następnie za każdym razem, kiedy dziecko ma dostać jeść, należy mleko w takiej ilości, jaka jest potrzebna (ćwierć szklanki czy pół szklanki) na nowo przegotować, zarówno przegotować wodę w osobnem naczyniu, poczem zmięszać mleko z wodą we wskazanym stosunku i dodać troszkę cukru.

Zarówno flaszka jak smoczek gumowy powinny być przed każdem ssaniem starannie wymyte. Smoczek najlepszy jest taki, który się nakłada wprost na szyjkę fląszki, gdyż da się z łatwością czysto utrzymać. Po ssaniu należy resztę mleka z flaszki wylać, a nigdy go nie zostawiać, bo takie mleko psuje się nadzwyczaj prędko i zaraz sprowadza słabość żołądkową

u dziecka. Po wypłukaniu flaszki i smoczka należy je dobrze osuszyć i w czystem miejscu przechowywać.

Matki częstokroć nie zdają sobie sprawy z tego, jak wiele zależy od ich czystości i staranności w sprawach dotyczących dzieci. Ileż to razy brak czasu, zmęczenie, lub zresztą pewna obojętność skłaniają matki do zaniedbywania tych drobnych a licznych czynności, które są konieczne dla utrzymania dziecka w dobrem a trwałem zdrowiu. Ale jeśli same zwrócą uwagę na skutki swego postępowania i przekonają się, jak pięknie i zdrowo mogą dzieci swym trudem i staraniem wyhodować, wtedy z pewnością nie cofną się przed niczem, co im się może błahem i niepotrzebnem wydawać, a jest w gruncie rzeczy koniecznem, jak naprzykład powyżej podane przepisy co do przyrządzania posiłku dziecku i utrzymywaniu czystości flaszki, z której ono pije.

Jeśli matka nie może w żaden sposób postarać się o dobre i pewne mleko, wtedy musi sobie radzić w inny sposób. Dla niemowląt do czterech miesięcy życia najlepsze są kleiki owsiane lub ryżowe. Obecnie mamy kilka gantunków niezbyt drogich a wybornych pod względem gatunku kasz owsianych, które są ogromnie posilne i w pokarmach dziecinnych pierwsze zajmują miejsce. Na pół szklanki takiej kaszy lub ryżu, który również jest dobrym środkiem pożywienia, bierze się szklankę wody i gotuje się przez dłuższy czas, przynajmniej przez godzinę, na wolnym ogniu. Powstałą z tego gęstą masę przeciera się przez sitko i rozciera trochę wodą lub mlekiem — jedno i drugie musi być świeżo przegotowane — dorzuca się kawałeczek cukru, poczem daje się dziecku pić z flaszki, lub też karmi się je łyżeczką. Z kasz owsianych słyną: Kwäker-Oats, gruba, bardzo dobra i pożywna kasza, następnie kaszka owsianka; z innych gatunków kasz słynie tapioka; jest ich jeszcze mnóstwo, ale w naszem mniemaniu nie dorównają one pod względem dobroci nawet tym, powyżej wymienionym gatunkom i nie wystarczają zupełnie jako jedyne pożywienie.

Po czwartym miesiącu można już spróbować dokarmiać dziecko kaszką na wodzie — gatunki powyżej wymienione i do tego celu są najlepszemi — oraz grysikiem na wodzie, który zazwyczaj najbardziej jest przez dzieci lubiany. Trzeba tylko pilnie zważać, aby tak kasza jak grysik były dobrze ugotowane, a nie rozprażone, co poznaje się potem, że dobrze ugotowana kaszka ma krupki duże, przeźroczyste i miękkie — kasza niedogotowana może spowodować u dziecka wzdęcie i boleści. Z początku należy dawać dziecku taką kaszę w niewielkich ilościach i dobrze pilnować, czy nie wywołuje ona jakich zaburzeń żołądkowych Pod tym względem panuje u dzieci wielka rozmaitość, jedne znoszą doskonale wszelkie rodzaje kaszek, drugie chorują, lub też wcale jeść ich nie chcą. Dla tych ostatnich jeden jeszcze sposób pożywienia jest polecenia godny i często już przez gospodynie używany — mianowicie taki: okrągłe suche ciastka, tak zwąne alberty, które dostać można w wielu kółkach i sklepikach wiejskich, gotuje się z wodą i odrobiną cukru tak długo, aż utworzą dość gęsty, biały kleik, o przyjemnym smaku, na którym zazwyczaj dzieci dobrze się chowają. Jeśli wszystkie te sposoby dziecku nie służą, trzeba poprzestać na owsianym lub ryżowym kleiku, lub wreszcie spróbować dawać dziecku mleko, rozcieńczone wodą w powyżej opisanym stosunku. Często dziecko przez kilka miesięcy mleka nie znosi, a potem zaczyna je chętnie i z pożytkiem przyjmować.

W ciągu czwartego i piątego miesiąca spróbować dziecku dawać po troszce innych posiłków, jak np. skórkę od chleba, kawałek bułki czy kołacza. Można też z czasem dawać z łyżki troszkę potraw, jakie jadają starsi, z wyjątkiem wszystkich kwasów. Jeśli się to robi pomału i ostrożnie, wtedy dziecko już w ciągu pierwszego roku życia do różnych potraw nawyknie i w starszym wieku je znosić będzie. Naturalnie nie może się to stosować do dzieci słabych i chorujących często na żołądek, gdyż można przez nieostrożność sprowadzić u dziecka długotrwałą i wyniszczającą chorobę kiszek.

Na wsi bardzo często dzieciom kilkomiesięcznym. nie karmionym piersią daje się ziemniaki lub opycha się je niepotrzebnie chlebem czy innemi pokarmami mącznemi. Od tego musimy też bardzo usilnie matki odwodzić, gdyż tak ziemniaki jak wszelkie mączne potrawy nie są wcale dla dzieci zdrowe, jeśli się ich w większej ilości używa. O wiele większą wartość mają kasze i temi najdłużej można dziecko karmić.

Nie należy też dziecku przed rokiem dawać surowych owoców, choć pod tym względem również nie można nic stanowczego powiedzieć. Niektóre dzieci doskonale znoszą surowe owoce i bardzo je lubią, inne od kawałeczka chorują. Dla tego trzeba zacząć od maleńkich kawałeczków i dobrze uważać, jak się dziecko po nich zachowuje. Owoce użyte w mierze, są bardzo zdrowe, ale trzeba, żeby dziecko powoli się do nich przyzwyczaiło. Matkom, które mają więcej czasu i sposobności do tego, radzimy, aby za-

czynały od gotowanych owoców, a przekonają się, jak wiele znaczy taki dodatek w żywieniu dziecka.

To są ogólne uwagi co do sztucznego karmienia dziecka. Do roku nie należy dziecku dawać: kapusty, kwaśnego barszczu, potraw z octem, zsiadłego mleka, surowych owoców; nie nadużywać pokarmów mącznych i ziemniaków; nie dawać pokarmów zimnych lub kilkakrotnie odgrzewanych. W razie częstego niedomagania na żołądek powrócić do pokarmów najprostszych, a nawet, jeśli dziecko mizernieje i słabnie, poradzić się doktora.

Kończąc nasze uwagi co do karmienia dzieci sztucznemi pokarmami zaznaczamy, że w wielu wypadkach staranne i troskliwe przyrządzenie pożywienia dziecinnego odnosi tak dobre skutki, że niepodobna by nawet dziecka w ten sposób wykarmionego odróżnić od dziecka wykarmionego piersią. Trzeba tylko zachowywać czystość aż do najdrobniejszych szczegółów, stosować ogromną ostrożność w dawaniu dziecku nowych pokarmów i najmniejszą słabość żołądka odrazu zażegnać środkami, podanemi już w ostatnich naszych radach co do pielęgnowania słabych dzieci, a skutki takiego chowania zobaczymy wkrótce na naszym drobiazgu, który będzie się pięknie i zdrowo rozwijał.

O polski elementarz.

Piękne to było i dobre, a uczyło się tak, jak żadne dziecko w tej klasie, chociaż wbrew Boskim prawom uczyło się po niemiecku. I zapragnęło polskiego elementarza, a ojciec kupił go swej pieszczotce, bo kochał jedynaczkę nad życie. Niewiedzieć, czy dziewięcioletnie to dziecko namaścił jaki duch Piastów, czy dusze pradziadów oddały jej jakiś spadek po sobie, czy tylko zasłyszało gdzieś, że jest polskiem dzieckiem, dość, że przyjęło elementarz polski jak relikwią i nie miało już siły z nim się rozstawać. Znało już litery, poczęło składać, a nauka szła łatwo, jeszcze łatwiej niż w obcej wrogów mowie. Ukochaną książeczkę chowało dziewczę na samym spodzie torebki szkolnej, by jej niczyje nie dojrzało oko.

Lecz zdarzyło się, że do pozostawionej pod ławką torebki szkolnej zakradła się zdradziecka sąsiadka i oddała polską książkę niemieckiemu nauczycielowi. Właścicielka książki powróciła z pauzy do klasy spokojna, grzeczna i chętna do nauki, chociażby niemieckiej.

Lecz tu woła ją nauczyciel i pokazuje ze zgrozą na polski elementarz. Zachrypłym głosem woła, by się przyznała, że się w domu uczy po polsku.

Nieprzytomne dziecko, blade jak płótno, stoi półmartwe, a wargi zdrętwiałe trwogą nie umieją wymówić wyrazu.

Ogląda się po za siebie... nikogo! ni ojca ni matki, ni duszy żywej, co by się ujęła za biedną dzieciną. Usta dziecka szepczą z cicha: Boże, Boże!...

I nagle spada na jej głowę cios jeden, drugi i dziesiąty. Zwinęła się na ziemi jak robak i utraciła przytomność.

Dziewczę otrzeźwiono wodą i odesłano do domu z wiadomością, że zostało ukarane za nieposłuszeństwo, bo nie chciała odpowiedzieć.

W nocy dziewczątko skonało.

Nie wiedzieć, czy zabił ją przestrach, czy ciosy silnej pięści nauczyciela rozbiły głowę słabego dziecka.

Zabrali ciało, trzymali tydzień cały, krajali, badali a orzekli, że zmarło śmiercią naturalną, wskutek przeziębienia się.

Honor pruskiej szkoły trzeba było ocalić!

Mała męczenniczka może uprosi u Boga lepszą dolę dla siostrzyczek, które tak jak ona polską ukochały książkę. *Czuj-duch.*

Śnieg pod drzewami.

Nie każdej zimy miewamy śniegi, a jeszcze rzadziej śnieg gruby potrafi doleżeć do wiosny. Najczęściej zimy u nas bywają zmienne, nie stałe. Odwilż lub mróz następują po sobie kolejno lub kilkanaście razy. Śnieg zaś jest dla roli dobrodziejstwem. Okrywa ją jak dobra pierzyna, broni od głębokiego zamarzania, topniejąc na wiosnę daje wodę, tak potrzebną do wzrostu roślin.

O wiele jeszcze pożyteczniejszym jest śnieg w sadzie. Drzewa, jak wiadomo, zapuszczają korzenie głęboko i zabierają niemi z pod gruntu ogromne ilości wody. Jeżeli na jesieni wykopać trzeba dołek pod starszem zwłaszcza drzewem, przekonywamy się, że ziemia w głębszych warstwach tak jest sucha i twarda, jak skała.

Otóż doprowadzenie wody do podgruntu w sadach wielce jest pożądanem i dlatego śnieg w sadzie uważać trzeba za bardzo pożyteczny. Nie dosyć jednak

na tem, że śnieg upadnie i między drzewami leży Trzeba go jeszcze dodać, a w tym celu wywozić śnieg z podwórka, sąsiednich dróg i składać go w gromady, między drzewami. Będzie z tego woda, która w ziemię wsiąknie.

Co prawda, takie duże ilości śniegu nieprędko się na wiosnę mogą roztopić, więc też ziemia pod niemi długo będzie zamarznięta. Wszelako jest to tylko dlatego niewygodnem, że pomiędzy drzewami nie prędko można siać lub sadzić. Ale za to zyskamy w inny sposób, bo drzewa w tej długo zamrożonej ziemi później się rozwijają i później zakwitną. Ponieważ kwitnienie wczesne wypada nieraz podczas przymrozków majowych, przeto opóźnienie kwitnienia bywa najczęściej pożytecznem, bo drzewa kwitną w pogodę i lepiej zawiązują.

Żeby ten wynik otrzymać, należy śnieg gromadzić około samych drzew, robiąc przy nich z niego wysokie, łopatą ubite kupki. Gdyby chodziło o jeszcze dłuższe opóźnienie kwitnienia, należy te kupki polać parę razy wodą podczas mrozu, a gdy dobrze zmarzną, nakryć gnojem słomianym, łęcinami lub gałęziami. Wtedy śnieg rozmarznie dopiero w maju.

ROZMAITOŚCI.

Jubileusz 25-letniego pasterstwa

Ojca św. Leona XIII. przypadał 20 lutego b. r. W całym świecie katolickim urządzono uroczyste nabożeństwa po katedrach, kościołach. Mimo lat sędziwych, w których słabnie każdy, nawet najsilniejszy umysł ludzki — Leon XIII. cieszy się zawsze jeszcze względną czerstwością ciała i niezwykłą świeżością ducha. Pracuje on, Sam wszystkiemi czynnościami urzędowemi kieruje, a prócz tego wydaje Sam nowe encykliki.

I oto teraz, po złotym jebileuszu kapłańskim, po złotym jubileuszu biskupim, Leon XIII-ty święci jubileusz trzeci — najważniejszy, bo srebrny jubileusz rządów papieskich. Ojciec święty liczy obecnie lat 93.

W obecnym numerze *Przodownicy* macie znów kochane Czytelniczki obrazek, pod którym podobnie jak to już wielokrotnie dawniej, odczytacie podpis: Artur Grottger.

Nazwisko to mówi bardzo wiele — jest ono bowiem własnością genialnego artysty i jednego z najgoręcej Polskę kochających jej synów.

Był to duch tak potężny, serce tak głęboko czujące, że chociaż wątłe zdrowie zaledwie 30 lat przeżyć mu pozwoliło, wzniósł się na najwyższe szczyty natchnienia i stworzył dzieła malarskie, które postawiły go na czele wszystkich artystów polskich — tuż obok Matejki.

Artur Grottger urodził się na wsi we wschodniej Galicyi, 11 listopada 1837 r. Od najmłodszych lat okazywał nadzwyczajne zdolności do rysunków, toteż ojciec jego, człowiek bardzo wykształcony i sam malarz z upodobania — dobrze pokierował pierwszą nauką syna. Potem posłał go do Lwowa, gdzie kształcił się młody chłopczyna pod kierunkiem doskonałego malarza Juliusza Kossaka. Postępami, jakie czynił szybko w nauce malarstwa, zwrócił na siebie uwagę osób możnych, które wystarały się dla niego o pomoc, czyli t. z. stypendyum rządowe. za które wyjechać mógł do Szkoły sztuk pięknych w Krakowie a potem do Wiednia i Monachium. Z tych podówczas najjaśniejszych ognisk sztuki czerpał Artur Grottger wiedzę coraz rozleglejszą i pełniejszą, a natchnienie do prac swoich z ojczystych wspomnień dziejów Polski i ukochania swej ziemi rodzinnej.

Gdy w r. 1861 zaczęły się wśród Polaków, pod moskiewskim obuchem żyjących, objawiać pierwsze przygotowania do wybuchu powstania, — Grottger, naówczas mieszkający w Wiedniu — sercem gorąco miłującem Ojczyznę — tak silnie odczuł jej bole, że stworzył szereg prześlicznych, do głębi duszy wzruszających obrazów p. t. „Warszawa„ — prześladowania i ucisk moskiewski w stolicy Polski malujący.

A gdy w r. 1863 wybuchło krwawe na ziemiach polskich powstanie, Grottger — mimo gorącej chęci, dla słabego zdrowia w nim brać czynnego udziału nie mogąc, powrócił zbolały i zabrał się do uwiecznienia tego szlachetnego a nieszczęsnego porywu polskiej młodzi w innym znów cyklu czyli szeregu obrazów, cierpieniem i rozpaczą nacechowanych, które wiekopomną okryły go sławą. Obrazy te przedstawiają sceny z bitew powstańczych — z więzień rozbitków i pędzenie ich przez moskali na Sybir.

Cykl zatytułowany „Wojna“ malujący jaskrawo klęski głodu, pożogi, zarazy i innych nieszczęsnych skutków wojny, zyskał ogromne uznanie — a „Lituania“ przedstawiająca w 6 obrazach losy powstania na Litwie, głębokiem uczuciem i prawdą do serc widzów przemawiają żywo.

W r. 1865 zapadł Artur Grottger ciężko na zdrowiu. Rozwinęły się suchoty gwałtowne, wyjechał więc na południe, pod ożywcze promienie cieplejszego słońca, do Francyi. Lecz było już zapóźno. Dnia 13 grudnia 1866 zmarł w Amelie les Baias, u wód, nie obaczywszy ukochanej a nieszczęśliwej swej rodzinnej ziemi. Dopiero w pół roku po śmierci dnia 4 lipca 1867 sprowadzono zwłoki tego najlepszego z Pola-

ków i największego z artystów do kraju i pochowano go we Lwowie na cmentarzu łyczakowskim, gdzie wznosi się nad mogiłą jego piękny nagrobek, a ciche westchnienia za spokój tej pięknej duszy ulatują. *M. T. Bł.*

Z historyi prześladowania Polaków podajemy Wam drogie Czytelniczki nowe zdarzenia — coraz to więcej Wrześni, coraz to większego znęcania dopuszczają się prusacy nad dziatwą naszą. Zuchwałość pruska rośnie, ale i nam bohaterskich dzieci przybywa — które są i będą chlubą narodu polskiego. Cześć im!!

Toruńska Izba karna skazała kupca Stanisława Będlewicza i księgarza Wojciechowskiego na miesiąc aresztu, pierwszego za wydanie, a drugiego za sprzedawanie ryciny, przedstawiającej losy narodu polskiego.

Prześladowania języka polskiego. *Germania* pisze, że zabroniono nauczycielom obwodu gdańskiego mówić po polsku pod grozą natychmiastowego wydalenia ze służby.

Dalej donoszą w tej samej gazecie, że wydano rozporządzenie, żeby w całym obwodzie, z wyjątkiem powiatu starogardzkiego, nauka religii na najniższym stopniu wykładana była po niemiecku. Tylko historya biblijna ma być na najniższym stopniu wykładana po polsku.

Porwanie księdza i znieważenie kościoła. Donoszą nam z Suwalk, że we wsi Bartniki (powiat wilkowyski), w dzień Oczyszczenia N. M. P. 2 lutego, podczas sumy wtargnęła cała zgraja żandarmów i policyantów rosyjskich, ażeby aresztować ks. Franciszka Wojciechowskiego. Lud, który stanął w obronie księdza, siepacze moskiewscy bili dobytemi szablami i kilka osób pokaleczyli.

Księdza wywieziono z Bartnik. Winą jego było to, że w dzień galowy nie odśpiewał hymnu „Ciebie Boga chwalimy“ i nie odprawił modłów za zdrowie cara.

W sprawie emigracyi robotników rolnych do Niemiec. L w ó w, 28 l u t e g o. *Gazeta Lwowska* ogłasza okólnik namiestnictwa w sprawie wychodźtwa z Galicyi na roboty do Niemiec. Okólnik zwraca uwagę, że rolnicy niemieccy będą pokrywali swoje zapotrzebowania sił rolniczych w tym roku prawie wyłącznie siłami rolniczemi krajowemi, które skutkiem zastoju niemieckiego przemysłu nie znajdą w tym przemyśle zajęcia i szukać go będą w rolnictwie. Dlatego należy przestrzegać robotników galicyjskich, aby nie udawali się do Niemiec bez poprzedniego zawarcia kontraktu służbowego z należycie wylegitymownnym pełnomocnikiem pracodawcy, przyczem należy zwrócić uwagę, aby jeden egzemplarz kontraktu sporządzony był w języku krajowym dla robotnika zrozumiałym i aby robotnik egzemplarz ten stale przy sobie nosił i nikomu pod żadnym warunkiem go nie oddawał. Należy robotników przestrzegać, aby nie podpisywali kontraktów, których treści nie rozumieją. Władze państwowe mają na żądanie robotników dawać wskazówki tak co do treści kontraktu, jakoteż co do osób, z którymi konktrakt ma być zawarty; w ten sposób będzie można nieuprawnionych agentów policyjnie ukarać, cudzoziemców bezwarunkowo z kraju wydalić. Aby zapobiedz wyzyskowi robotników przez koncesyonowanych agentów, należy każdemu agentowi zagrozić, że w razie gdyby robotników przez podawanie nieprawdziwych faktów do wyjazdu skłonili, albo w inny sposób na ich szkodę działali — będzie im koncesya odebraną, bez względu na ewentualne postępowanie sądowe.

Dla dzieci wrzesińskich złożyły dzieci wioski Wolicy pod Krakowem halerzy 40; p. Piechnikowa 60.

Trzęsienie ziemi. W mieście na Kaukazie, Szemacha, wydobyto dotąd z pod gruzów, zawalonych przez trzęsienie ziemi domów, 800 trupów. W okolicznych 30 wsiach, które również nawiedziło trzęsienie ziemi, zginęło 27 osób.

PYTANIA i ODPOWIEDZI.

Szanownej Genowefie Wojtyla donoszę, że za rok 1901 należy się 60 hal.

Sz. J. M. Z. donoszę, że bardzo dobrych nasion można dostać w Zakładzie św Józefa osieroconych chłopców — Kraków, Karmelicka — lub też u p. Mikuckiego — Kraków, Rynek.

Sz. Bujakowi przesyłając serdeczne podziękowanie za tyle życzliwości dla *Przodownicy* — proszę przyjąć życzenia najlepszego powodzenia, dla całej Jego rodziny.

Życzenia Szan. J. Kaszpra ucieszyły nas i serdecznie rozrzewniły, „Bóg zapłać za nie“ — aby wszystkie Czytelniczki i Czytelnicy *Przodownicy* mogli być z niej podobnie zadowoleni.

Broszurka prof. Bujwida kosztuje 6 hal. i dostać jej można w księgarni wydawnictw ludowych p. Kaspra Wojnara — Kraków, Szewska 13.

Sz. J. Pie... dzięki — za popieranie *Przodownicy*, i zachęcania tego pisemka.

List z kraju: Radomyśl nad Sanem zamieścimy w najbliższym numerze *Przodownicy*.

Sz. A. Dobrzańskiemu książkę o pszczelnictwie poszlemy dopiero w przyszłym tygodniu.

Administracya przypomina tym Szanownym Czytelniczkom i Czytelnikom, którzy dotąd nie przesłali prenumeraty, by ją uiścić zechcieli.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka.
Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Dodatek do Nru 3 „Przodownicy“ z r. 1902.

Dańko z Jawuru.

POWIEŚĆ.

I.

Głód.

Roku pańskiego 1325 w Jawurze, sandomierskiej włości, w pysznym zamku, którego dziś i śladu nie widać, w zamku z modrzewia na wysokiej górze, zamkniętym zwodzonymi mosty, bronionym przez grube z czerwonej cegły mury, mieszkał pan możny i bogaty, Kaszubskim lub Kaszubą zwany. Jego pradziad niegdyś z gdańskiej przybył okolicy, sąsiednich Krzyżaków zwyczaje razem z zakupioną w Małopolsce włością potomkom swoim przekazał. Pan Kaszuba miał kosztowne rynsztunki i zbroje na ścianach sypialni, dziarskie bieguny w stajniach, żonę piękną ze znacznego domu, która przed nim jak gołębica przed jastrzębiem drżała, syna zepsutego i zuchwałego chłopaka, miał jeszcze córkę zupełnie do matki podobną, o którą nie dbał wcale, miał mnogich poddanych w obszernych dziedzinach i dlatego pan Kaszubski herbu Kaszuba hardo głowę podnosił, z sąsiadami nieraz zadzierał, a ubogich włościan swoich bezkarnie nędził i ciemiężył.

We wsi jego żył z całą rodziną w ubogiej i niskiej lepiance Piotr, którego inni chłopi Sępem przezwali, bo zawsze miał sępiate i chmurne oblicze, zawsze był ponury, milczący, a jeśli kiedy przemówił, to słowa jego były skargą, klątwą lub złą wróżbą. Jakże inaczej być mogło? Piotr jeszcze pięćdziesiątego nie domierzał roku, żona jego i czterdziestu lat nie miała, a już oboje pochyleni i starzy, z trudnością na opłacenie się panu i wyżywienie trojga dzieci zapracować mogli, bo ubóstwo, niewygoda, brak i ciężkie trudy prędko pod człowiekiem dół grobowy kopią. Piotrowi czas najsposobniejszy do pracy schodził zawsze na pańskiej robocie, co mu zaś wydało źle uprawne pole, na wyżywienie przez dziedzica pożyczone, to wybrał dwór podatkami, daremszczyznami, to poszło na podwody, na utrzymanie licznej czeladzi przyjeżdżających w odwiedziny do pana, a przy tem wszystkiem zdarzały się jeszcze bardzo częste nieurodzaje, tatarskich koni kopyta lub ogień litewskiej dziczy niszczyły dokoła w powtarzanych napadach biedne wieśniaków osady.

Oj! bo też to złe i smutne były te dawne czasy! Kto się nieco głębiej wczytał w historyą, nietylko zdarzeń, ale obyczajów i praw ówczesnych, ten zapewne dziwić się musi, jakim sposobem żyły chłopki nasze w tak wielkim ucisku, w tak niesłychanej nędzy. Zapewne z tamtych wieków dojść musiało przysłowie: — „być jak ptaszek na gałęzi“ — boć istotnie jak ptaszki na gałęzi żyły te biedne stworzenia, któremi lada wietrzyk mógł powionąć, których lada niełaska pańska życia pozbawić, lada rok jeden suszy lub słoty zbytecznej głodem pomorzyć mogły. Czuł to Piotr dobrze i z zakrwawionem sercem patrzył na dziatki swoje, obdarte zawsze, zgłodniałe często i nie mógł przewidzieć, żeby im kiedy lepsza dola zabłysła. On jak roślina przyrósł do ziemi, na której się zrodził, a dzieci i wnuki jego odstać od niej nie mogły. Jemu też to i w głowie nie powstało nigdy; w zwyczaju poddaństwa wychowany, o zmianie stanu nie myślał, tylko zazdrościł losu innych chłopów, którzy, przez lepszych rządzeni panów, spokojniejsze pędzili życie. Piotr nie mógł tą nadzieją się cieszyć. Jak najstarsi z całego koła pamiętali, tak pan nieboszczyk ani troszkę od jego pana litościwszym nie był, a młode paniątko, co im się na dziedzica w pysznym zamku chowało, nie pomyślniejsze od ojców swoich czyniło spodziewanie. Dlatego też biedny Piotr często przeklinał siebie i świat cały, był smutny, gniewliwy, niechętny. Ów chłopek znękany pracą i nędzą, ów Sęp najsmutniejszy wśród drugich chłopków, którzy sami do wesołości nie mieli przyczyny, czasem uśmiechał się i całej boleści z duszy swojej zbywał. Dańko, najstarszy z jego dzieci, już piętnaście lat skończył, a takim synem nie każdy mógł się poszczycić. Od najmłodszych lat umiał on bydła doglądać, matce pomagać, młodszego rodzeństwa pilnować, nawet od roku często się u ojca dopraszał, żeby pług zdał na niego i pozwolił się czasem w dworskiej robociźnie wyręczyć. Żartował ojciec z tej wielkiej chłopięcia ochoty i zdala go od ciężkiej pracy trzymał, by sił i chęci jego na dalsze lata oszczędzić, lecz kiedy w zimie zastał niespodzianie trochę wymłóconego ziarna, lub w lecie spielony zagon w ogrodzie i ranniejszego od siebie chłopaka przy robocie, wtedy kładł na głowie jego kościstą rękę swoją i mówił ze łzami w oczach: — „Poczciwą a pilną dziatwę Pan Bóg błogosławi“ — i gdyby kto był widział wtedy twarz Piotra, zapewne nie byłby odgadł, że to jest ten sam, którego wszyscy Sępem zowią.

Jednak z kilkunastu lat gospodarstwa i biedy, żaden rok nie był tak okropny, jak ten, który się na początku tej powieści wspomniało. Zima przeszła jako tako z wzajemną sąsiadów pomocą, lecz nadszedł i przednowek. A co to jest przednowek? To jest dla kmiotków czas nędzy, czas głodu. W głodzie ludzie ludzi na okrętach pożerają, u nas biedny wieśniak idzie do lasu, zbiera korzonki, trawę, grzyby najczęściej szkodliwe i śmiało powiedzieć można, że się trucizną karmi. Głód! okropne to jest słowo, zawiera w sobie najdotkliwsze męki, śmierć najboleśniejszą. Są tacy, którzy nie wierząc, aby u nas, wśród tak żyznej ziemi, z głodu umierać można, zasłaniają się starą przypowieścią, że „kogo Pan Bóg stworzył, tego nie umorzył“ — a jednak zdarza się słyszeć inne osoby tak dokładnie opisujące śmierć głodową, twarz opuchłą, krwią zabiegłe oczy, niemoc konającego, iż zapewne musiały same na to patrzeć — dlaczego? jak? kiedy? mniejsza o to, nie chcemy tu wspominać bliższych nas lub teraźniejszych czasów, ale dowiedzioną przynajmniej historycznie pewnością jest, że w pierwszej połowie XIV wieku kilkakrotnie Polska tym srogim gościem nawiedzoną była.

Otóż jednego dnia Piotr rzekł do żony:

— Kobieto, wczoraj dworscy wybrali u mnie ostatnią garstkę żyta, król ma pono przejeżdżać, pan zapasy zbiera, a nam bydło wypadło, już nic nie mam na wyżywienie wasze.

Salomea zbladła okropnie i wskazała ciemny kąt izby, gdzie na barłogu leżał mały chłopczyna, najmłodsze z jej dzieci.

— Och! mój Boże — smutnie rzekła do męża — a on chory, nic nie jadł od wczorajszego wieczora.

Idźże dla niego tylko u sąsiady kawałek chleba pożyczyć.

— Sąsiada dziś właśnie skarżyła się przedemną, że ma tylko jeden bochenek chleba i dla swojej dziatwy go chowa.

— No, kobieto, klęknijmyż tedy i prośmy Boga, żeby nam wszystkim wieczny odpoczynek dać raczył.

Salomea fartuchem oczy zasłoniła i cicho, lecz rzewliwie płakała. Piotr rzucił się na ławę, siedział ponury, zamyślony, czasem ściśniętą pięścią w czoło uderzał, jak gdyby chciał sobie głowę roztrzaskać — mała dzieweczka wcisnęła się w sam kąt oddawna wygasłego ogniska, a Dańko siedział na ziemi przy kolanach ojca i jakoś myślał głęboko. Nakoniec wszystko w swojej głowie ułożywszy:

— Tatulu, rzekł do Piotra — nie bądźcie takiej myśli, jeszcześ nam głodną śmiercią nie przyszło umierać, i wy, złota matuleńko, nie płaczcie, bierzcie do serca otuchę — znam się lepiej na betkach, niż którykolwiek z jawurskich chłopaków, to dla nas będzie jedzenie, i dla Bartusia choćbym do jutra miał przy zamku wartować, muszę panią albo panienkę samą zdybać, poproszę ich, to mi pewno nie odrzekną trochę posilniejszej strawy.

— Niechże cię Bóg strzeże od zamkowej drogi, kiedy tam z próżną ręką masz iść, chłopaku — rzekła przestraszona Piotrowa — jeszczeby cię psami, jak złe zwierzę zaszczuto.

— Nie chodź tam, nie chodź Dańku — odezwał się Sęp ponuro — nie w zamku dla nas wsparcie i ratunek. Na pańskiej-ci to pracy grzbiet mi się pochylił, zesłabły ręce — i wyciągnął obydwie, a były czarne, chude, kościste — orałem, żąłem, zbierałem dla panów, teraz ku waszemu pożywieniu wydołać nie mogę, niech ich wszystkie Boginki skażą*), niech Marzana ściga wszędy, niech im Bóg zamknie drzwi królestwa swego.

— Nie przeklinajcie tak wszystkich, tatulu — pani nasza odwiedzała w chorobie i żonę Wawra i ojca Mardysowego, a panieńka, istnie jakby aniołek, do nas biednych uśmiecha się, gdyby do równych sobie. One się pewno ulitują naszej wielkiej biedzie, tylko nie bądźcie złej myśli. Pójdę z Magdeczką, we dwoje więcej uzbieramy betków i kwaśnej trawy, a jeśli tylko będę się mógł przed pani oblicze dostać, to już miejmy ufność w Bogu, że nas zechce pewnie pocieszyć.

Salomea przystała na słowa Dańka, Piotr milczał, więc też dzieci, wziąwszy z sobą podartą płachtę na zbieranie leśnej żywności, wyszły z chaty pełne nadziei. Dzieciom tak łatwo jest w lepszą przyszłość uwierzyć!

Dańko i Magdeczka prawie wesoło pobiegli ku zamkowej górze, ale na podwórzu, na drodze pełno ludzi w zbrojach i szkarłacie uwijało się to w tę, to w ową stronę; zaiste, wielkiem jest niepodobieństwem, żeby pani lub panienka przystęp im dały do siebie. Chłopiec patrzył ciekawie na przystrojone konie, na sfory psów gończych, a dziewczyna chowała się za niego cała drżąca z przestrachu i co chwilę ciągnęła go za rękaw, żeby już odeszli.

— Dańku, Dańku! Bóg widzi, my tu nic nie wystoimy, pójdźmy, bo ja się boję.

---

*) Aż po Kazimierza Wielkiego panowanie trwało między ludem dużo zabytków pogaństwa, szczególnie w gniewie i przekleństwach dawne wspomniano bożyszcza. — Boginki, złe duchy żeńskie; Marzana, władająca śmiercią i chorobami.

— Jeszczeby chwilkę zaczekać, Magdeczko, może też pani wyjrzy oknem, może panienka nas zoczy. Panienka mnie zna dobrze, łońskiego lata dwóch małych przyniósłem jej zajączków.

— Byleć nas tylko bracie paniczątko nie dostrzegło.

— Och nie, patrz, Magdeczko, dobra nadzieja, otworzyło się okno od imościnej komnaty.

Jakoż istotnie, w czarnej framudze, jakby w ramach ciemnych obraz cherubina, zabłysła jasna główka trzynastoletnej dziewczynki.

Dzieci wieśniaka patrzyły ku córce możnego pana jak się chorzy ku cudownemu obrazowi patrzą, kiedy silna wiara w sercu im mówi, że on ich uzdrowić może, ale... dzieci patrzyły daremnie. Trzeba tylko było jednego spojrzenia, jednego znaku, panienka miała tak dobre serce, jej matka tak chętnie wspomagała ubogich, cóż, kiedy oczy proszących nie spotkały się z dobroczynnej dziewczynki wejrzeniem. Wzrok jej biegł za hasającemi końmi, za zręcznymi jeżdzcami, a tymczaaem też stanął przed zamkiem silny, barczysty mężczyzna, z czarnymi ogromnymi wąsami, które mu się groźnie po obu stronach twarzy strzępiły.

— Pan! Pan! — krzyknęły przelęknione dzieci i uciekać zaczęły, i biegły prędko, długo, póki ich zakręt drogi przed zamkowymi ludźmi nie ukrył, bo tak zawsze wszystkie z Jawuru dzieci przed okrutnym Kaszubskim Kaszubą uciekały.

II.

Panicz, poddany i sędzia.

Nakoniec Dańko i Magdeczka przybyli na smug rozległy, od południa lasem objęty, i pilnie zaczęli upatrywać to listków szczawiu, to między bliżej rosnącemi sosnami mleczaków i innych grzybów. Już blisko pół godziny zajęła im ta robota i z pełną płachtą właśnie mieli powracać do domu, gdy niespodzianie ogromny pies obces ku nim się rzucił. Magdeczka krzyknęła przeraźliwie, bo poznała dworskiego brytana. Zaczęła z całych sił ku wsi uciekać, ale wieś była daleko, a pies mógł w dwóch skokach dziewczynkę pochwycić. Wtedy Dańko, nie wiele myśląc, rzucił płachtę na ziemię, sam bez kawałka kija w ręku, bezbronny z obnażoną piersią, cisnął się między psa a siostrę i pochwycił brytana za gardło. W tej też chwili spostrzegł, że pies nie sam przybył, tylko na kilka kroków pana swego poprzedzał.

Był to syn Kaszubskiego, dziewięcioletni Borysław.

— Paniątko — krzyknął Dańko. — Paniątko, miejcie litość, odwołajcie waszego brytana! — a pies tymczasem mocował się z dzielnym chłopakiem tak, że się oba na trawę powalili, a Magdeczka uciekała ciągle, a z Dańkowego ramienia krople krwi ściekały.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Po niewczasie.

(Dokończenie).

Ale gdy znowu minął kwadrans, ogarniać ją już począł strach nie o męża, ale o pieniądze. Pomyślała, że je chyba zgubił i dlatego nie wraca.

— Antośka! — zawołała na córkę — lećże duchem do wójtowej chałupy i patrz, cy tam tatuś są.

Dziewczynka wybiegła z izby i wróciła za małą chwilę.

— I cóż? Kaj-ś tatuś? — spytała Marcinowa.

— Tatuś w karczmie; spotkałam Kowalankę, to mi powiedziała — rzekła Antośka.

— O rety! — krzyknęła kobieta i pędem wybiegła z chałupy.

Gnała ją trwoga o pieniądze, jak szalona pobiegła do karczmy i w sieniach spotkała się z wójtem. Marcin szedł obok i gdy dojrzał swoją kobietę, zbladł.

— Mosz piniądze? — zawołała zdyszanym głosem, chwytając męża za rękaw u sukmany.

— Wszyćkie przepił — odpowiedział ze śmiechem wójt.

— Nie drwinkujcie — szepnęła — bo ze mnie mało dusa nie wyskocy. Pożyczyliście dziesiątkę? Mówcież...

— Byłbym pożyczył, ale ni mom — odpowiedział wójt.

— To cóz bedzie? — spytała bezradna.

— To na przyszły jarmark krowę kupis — przemówił Marcin. — Sprzedosz ciele i bedą piniądze.

— Przedewszystkiem trza podatki opłacić — wtrącił wójt. — Jutro musiałbym przyjść do wos na zajęcie.

— Toli przyrzekliście, że poczekają w urzędzie — rzekła żałośnie kobieta.

— Nie poczekają; lepiej dziś zapłacić. Idę dzisioj do Skawiny, to w powiatowej kasie za-

płacę za wos podatki i kwit przyniesę. Marcin tę rzec wyrozumioł i doł mi piniądze.

— Za-pła-cił?...

Kobieta z trudnością wykrztusiła to słowo; spojrzała najpierw na wójta, potem na męża; zatrzęsło nią jak w febrze; byłaby się zatoczyła, ale w czas uchwyciła się belki u schodów, co na strych wiodły i tak oparta o belkę, stała wpatrzona w swego chłopa, a z oczu jej zaczęły ściekać po twarzy grube łzy.

— Teroz juz i po krowie — szepnęła.

— Krowę kupicie kiedyindziej — perswadował wójt. — Podatki trzeba było zapłacić, bo ze zwłoki urosłyby koszta, a na cóż mocie z kosztami płacić, kiedy się bez tego obejdzie?

— Pieniądze rozejdą się do reszty — rzekła kobieta z płaczem.

Wójt spojrzał na nią z uśmiechem, a potem rzekł z fantazyą:

— Ano, wiecie co?... To pożyczcie mi dwadzieścia pięć papierków, kupię dzisiaj na jarmarku dwa prosiaki; przed drugim jarmarkiem pieniądze oddom, to se krowę kupicie.

Marcinowa milczała, Marcin szepnął:

— Wolołbym pożyczyć, w chacie pieniądze niepewne, a wy byście wójcie i procent jaki dali...

— Jużci, że darmo pożyczyć nie chcę!.. Dom koronę za to, że mi wygodzicie.

Marcinowa milczała jeszcze, więc wójt dodał: — Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie. Wygodzicie mnie dzisioj, to i jo wom wygodzę, kiej trza będzie.

— Basiu, to chyba pożyczymy? — szeptem spytał Marcin.

Wtedy Marcinowa spojrzała z żałością na pieniądze, które zawinięte w chusteczce trzymał jej chłop; widać było, że najchętniej wyrwałaby mu je z garści i pobiegła z niemi do chałupy. Ale zatrzymywał ją na miejscu szacunek dla osoby wójta. Za nic w świecie nie chciałaby go sobie narazić, to jedno; a powtóre: bała się, że ludzie we wsi mogliby się o tem dowiedzieć i wyśmiać ją za to, że nie chciała pożyczyć pieniędzy wójtowi, znanemu z rzetelności, a bogatemu o tyla, by mógł dług oddać w terminie.

Marcin zaś myślał:

— Jak im teroz pożycę pieniądze, to i oni mi wygodzą w potrzebie.

Sam nie umiał rozumować; powtarzał w myśli to, co słyszał przed chwilą z ust wójta.

— Ano, jak bedzie, tak bedzie — przemówił wójt po chwili — ale tu w sieni stać nie pasuje. Chodźcie, napijemy się po kubku wódki.

Marcinowa wymawiała się od poczęstunku, ale wójt tak długo nalegał, aż wreszcie dała się nakłonić i wszyscy troje weszli do karczemnej izby.

Tu przy drugiej kolejce „malinówki z mocną“, Marcinowa własnoręcznie wyjęła z chusteczki pieniądze i na ręcę wójta odliczyła pięćdziesiąt koron.

Arendarz Lewek i jego żona byli świadkami tej pożyczki.

Z owych sześćdziesięciu reńskich, czyli stodwudziestu koron, przeznaczonych na kupno krowy, zostało już tylko teraz niespełna trzydzieści pięć koron.

Gdy Marcinowa za powrotem do chałupy przeliczyła pieniądze i już chować je miała do skrzyni, wybuchnęła nagle:

— Nie! Nie bede ich chowała w skrzyni, bo się do reszty rozlecą między ludzi!... Niech się dzieje co chce, idę na jarmark i chociaż świnie kupię. Tyle bedzie mojego.

Zawdziała chustkę, pobiegła poprosić sąsiadki, żeby czuwała przy dzieciach; mężowi wysyłała śniadanie do pola i nie opowiedziawszy mu się wcale, ruszyła w drogę ku Skawinie.

Już późno po zachodzie słońca wracała z jarmarku Marcinowa, prowadząc przed sobą na sznurku dużą świnię.

— To zamiast krowy świnię do stajni prowadzicie? — zapytywali znajomi, spotykający ją na gościńcu.

A Jasiek Młynarczyk, dawny jej konkurent, którego odrzuciła gniewnie, spotkawszy ją teraz, zaśpiewał:

„Oj chwaliłeś się chłopie, że mosz sześć par koni,
Zaś mosz sześć par myszów jedna drugą goni!“

Mogło się to nie stosować do Marcinowej, ale widać, wzięli to ludzie za przyśpiewkę do niej, bo wszyscy: i ci, co z Jaśkiem Młynarczykiem jechali na wozie i ci, co szli pieszo gościńcem i ścieżkami, wybuchli na to głośnym śmiechem, uparcie spoglądając w stronę Marcinowej.

Odpowiadała na przyśpiewkę wzgardliwym milczeniem, innym odcięła się jak mogła i zła okrutnia, zagnała świnie do chałupy,

Tym razem Marcin nie oczekiwał już żony przed zagrodą. Siedział w karczmie i pił za „drobne“, które mu Baśka w skrzyni zostawiła.

Okrutny żal ścisnął Baśkę za serce; pożałowała srodze, że tyle „śpekulowała“ przy kupnie krowy; ale był to niestety żal po niewczasie.

Juliusz Piasecki.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka.
Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.